

Bartłomiej Kozłowski

Prezydent nie odebrał ślubowania od sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Co by było, gdyby (np.) nie zarządził wyborów do Sejmu?

Wyobraźmy sobie następujące sytuacje: 1) Mimo, że upłynęło już 90 dni przed końcem kadencji Sejmu i Senatu, Prezydent RP – pomimo tego, co mówi art. 98 ust. 2 Konstytucji – nie zarządza nowych wyborów do obu izb parlamentu, które według wspomnianego przepisu powinny się odbyć w dniu wolnym od pracy, przypadającym w ciągu 30 dni przed upływem 4 lat od rozpoczęcia kadencji Sejmu i Senatu; 2) Pomimo, że wybory się odbyły, Prezydent nie zwołuje pierwszego posiedzenia Sejmu i Senatu, co zgodnie z art. 109 Konstytucji powinno mieć miejsce w przeciągu 30 dni od daty wyborów; 3) Parlament uchwalił ustawę, która Prezydentowi się bardzo nie podoba. Prezydent – zgodnie z uprawnieniem przysługującym mu na mocy art. 122 ust. 5 Konstytucji – ustawę tą weta. Sejm jednak większością 3/5 głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów weto prezydenta przelamuje. Pomimo jednak tego, o czym dalej mówi ten przepis, Prezydent nie podpisuje ustawy i nie zarządza jej ogłoszenia w Dzienniku Ustaw.

Sytuacje te do niedawna mogły wydawać się niewyobrażalne (ja w każdym razie nad nimi chyba się nie zastanawiałem). Jest oczywiste, że Prezydent ma konstytucyjny obowiązek zarządzić wybory do Sejmu i Senatu kolejnej kadencji w określonym w Konstytucji terminie, ma konstytucyjny obowiązek zwołać posiedzenie nowego Sejmu i Senatu i ma też konstytucyjny obowiązek podpisania ustawy, którą Sejm uchwalił większością co najmniej 3/5 pomimo jego weta, lub którą Trybunał Konstytucyjny – w przypadku zaskarżenia jej przez Prezydenta przed jej podpisaniem – uznał za zgodną z Konstytucją. Zaniechanie którejkolwiek z tych rzeczy przez Prezydenta jest konstytucyjnym deliktem, narażającym go na odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu. Ba – można byłoby twierdzić, że tego rodzaju zaniechanie ze strony Prezydenta stanowiłoby przestępstwo z art. 231 § 1 k.k., zgodnie z którym „Funkcjonariusz publiczny (którym zgodnie z art. 115 § 13 k.k. jest m.in. Prezydent RP), który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Z dużym prawdopodobieństwem w grę mogłaby wchodzić kwalifikowana postać tego przestępstwa określona w art. 231 § 2, która ma miejsce wówczas, jeśli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej – za coś takiego funkcjonariuszowi publicznemu, a więc potencjalnie także prezydentowi grozi kara od roku do 10 lat więzienia (Trybunał Stanu w przypadku stosownej uchwały ze strony Sejmu – a w przypadku prezydenta Zgromadzenia Narodowego – może działać jako sąd karny). Lecz prezydent ma też konstytucyjny obowiązek przyjęcia ślubowania od nowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego – lecz, jak wiadomo, przyjął ślubowanie tylko od dwóch spośród wybranej 13 marca 2026 r. szóstki, a przyjmować ślubowania od pozostałych czterech najwyraźniej nie zamierza. Można więc twierdzić, że takie sytuacje, o jakich była tu wcześniej mowa, wcale nie są niewyobrażalne. A choć za takie rzeczy Prezydentowi grozi Trybunał Stanu – w tym również odpowiedzialność karna przed tym organem – to postawienie Prezydenta w stan oskarżenia przed TS nie jest rzeczą prostą: może to nastąpić na

mocy uchwały Zgromadzenia Narodowego – czyli Sejmu i Senatu razem wziętych - podjętą większością co najmniej 2/3 głosów ustawowej liczby członków Zgromadzenia Narodowego na wniosek co najmniej 140 jego członków. (1)

Zastanówmy się jednak przede wszystkim nad tym, co z takich sytuacji, jak opisane powyżej by wynikało – lub przynajmniej mogłoby wynikać. Czy jeśli prezydent nie zarządziłby wyborów do Sejmu i Senatu, to wybory te nie mogłyby się odbyć? Czy jeśli prezydent nie zwołałby pierwszego posiedzenia Sejmu i Senatu, to nie mogłoby dojść do tego posiedzenia (i wszelkich kolejnych)? Czy jeśli prezydent nie podpisałby ustawy pomimo przełamania jego weta przez Sejm albo uznania tej ustawy przez Trybunał Konstytucyjny za zgodną z Konstytucją to czy przysługujące mu na mocy Konstytucji prawo do zawetowania ustawy nie stałoby się *de facto* prawem do zawetowania jej w sposób absolutny?

W demokratycznym kraju takie rzeczy są trudne do pomyślenia w poważny sposób. Jest oczywiste, że w miarę regularnie odbywające się wybory parlamentarne są chyba najbardziej elementarnym wymogiem tego, by jakiś kraj można było zwać demokracją. Polska konstytucja przewiduje długość kadencji Sejmu i Senatu – wynosi ona 4 lata. Wprawdzie w pewnych przypadkach długość kadencji obu izb parlamentu może zostać skrócona, lecz poza przypadkiem wprowadzenia któregoś ze stanów nadzwyczajnych – tj. stanu wyjątkowego, stanu wojennego lub stanu klęski żywiołowej – kadencji tych izb nie można wydłużyć. Dalej, ponieważ funkcjonowanie parlamentu wybranego w wolnych wyborach jest niewątpliwie koniecznym warunkiem tego, by dany kraj mógł być uważany za demokrację, nie ukonstytuowanie się parlamentu spowodowałoby to, że kraj demokracją *de facto* już by nie był. Podobnie, czymś w oczywisty sposób sprzecznym z podstawowymi zasadami demokracji jest absolutne prawo Prezydenta do wetowania ustaw i nie dopuszczania do wejścia ich w życie. Zgoda, że prawo do absolutnej eliminacji ustawy z systemu prawnego ma Trybunał Konstytucyjny (a w USA tamtejszy Sąd Najwyższy). W tych jednak przypadkach chodzi o kwestię sprzeczności prawa niższego rzędu (ustawy) z prawem wyższego rzędu (konstytucją). Powód zawetowania ustawy przez prezydenta nie musi mieć nic wspólnego z jej niekonstytucyjnością – może być on w gruncie rzeczy dowolny. Mówiąc o takich sprawach dotykamy tych rzeczy, które dla jakiegokolwiek demokracji są absolutnie nieodzowne. Będąc w *ramach* demokracji – pozostając na jej gruncie – można się spierać o wiele, czy nawet o mnóstwo rzeczy. Np. o to, czy „walcząca” demokracja w stylu niemieckim (oczywiście, nie tylko Niemcy można określić mianem „walczącej” – czy też „bojowej” – demokracji – jednak to właśnie Niemcy są zazwyczaj uważane za jej sztandarowy przykład) jest dobrym modelem demokracji (w tekstach opublikowanych na <https://bartlomiejkozlowski.pl/main.htm> i <https://www.salon24.pl/u/kozlowski/> wielokrotnie krytykowałem rozwiązania właściwe dla „walczących” demokracji – takie, jak ograniczenia wolności słowa typu zakazów „mowy nienawiści” czy propagowania potencjalnie niebezpiecznych dla demokracji ideologii (np. nazizmu, komunizmu czy faszyzmu), albo istnienia organizacji tego rodzaju, co partie neonazistowskie lub komunistyczne) (2), o sądowną – albo dokonywaną przez wyspecjalizowany organ typu naszego Trybunału Konstytucyjnego – kontrolę konstytucyjności ustawodawstwa (osobiście jestem zwolennikiem „judicial review” w stylu amerykańskim, w którym sądy nieraz unieważniają jako naruszające gwarantowane przez konstytucję wolności i prawa obywatelskie przepisy na

podstawie wcale nie oczywistych – przynajmniej na pierwszy rzut oka – przepisów Konstytucji – są też jednak - np. w Wielkiej Brytanii – tacy, którzy uważają, że unieważnianie przez sądy – albo przez specjalny Trybunał Konstytucyjny - praw w prawidłowy sposób uchwalonych przez Parlament jest naruszeniem demokracji) (3), o model ordynacji wyborczej (4), o to, czy parlament powinien być dwu – czy może jednak jednoizbowy (a może np. trzy – lub więcej – izbowy, jak było to w nie będącej poniekąd demokracją dawnej Jugosławii) (5), sposób wyboru i uprawnienia prezydenta (albo o to, czy w ogóle powinien być ktoś taki, jak prezydent), prezydencki, parlamentarno – gabinetowy, pośredni – czy może jeszcze inny – system rządów, itd. Nie można jednak – jeśli chce się w sposób poważny twierdzić, że w dalszym ciągu jest na gruncie demokracji – spierać się (nie w sensie możliwości dyskusowania o czymś takim, ale twierdzenia, że takie rozwiązania niekoniecznie są sprzeczne z demokracją) o to, czy powinny – we w miarę przynajmniej regularnych odstępach czasu, liczących nie więcej, niż kilka lat – odbywać się wolne wybory do ciała ustawodawczego, czy ciało takie powinno mieć możliwość działania, albo czy jedna konkretna osoba – nawet mająca mandat pochodzący z wyborów powszechnych – powinna mieć absolutne prawo do niweczenia z dowolnego powodu praw uchwalonych przez parlament. Po prostu – o kimś, kto neguje taką rzecz, jak wolne wybory (czyli takie wybory, w których zasadniczo rzecz biorąc każdy, kto ukończył pewien odpowiedni wiek może wziąć zarówno czynny, jak i bierny udział), czy też możliwość działania wybranego w wolnych wyborach parlamentu nie da się powiedzieć, że jest on demokratą – tak samo, jak o kimś, kto neguje zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa nie da się powiedzieć, że jest on chrześcijaninem (choć ktoś taki – rzecz jasna może być dobrym – lepszym niż mnóstwo chrześcijan – człowiekiem).

Ale, oczywiście, jakkolwiek bez pewnych rzeczy państwo nie może być demokracją – nie ma przecież sensu używanie słowa „demokracja” wobec kraju, w którym nie odbywają się wybory (chyba, że chodziłoby o kraj tak mały, że byłoby możliwe funkcjonowanie w nim demokracji bezpośredniej w stylu podobnym do tego, jaki istniał w starożytnych Atenach), to sama demokracja – w jakimkolwiek jej wydaniu – nie jest już oczywistością – wiemy doskonale, że w historii ludzkich społeczeństw demokracje były rzadkością – dopiero od stosunkowo niedawnych czasów takie państwa, w których nie odbywają się wybory – względnie odbywają się takie wybory, w których *de facto* nie ma możliwości dokonania wyboru (*vide* wybory w krajach komunistycznych) – mogą być uważane za jakąś anomalię – coś „nienormalnego” na tle przeważających ogólnie wzorców.

Najbardziej istotne pytanie praktyczne odnośnie hipotetycznych sytuacji, o których wspominałem na początku tego tekstu jest jednak takie, jak takim sytuacjom – w sposób zgodny z prawem – można byłoby zaradzić i spowodować to, by wybory do Sejmu i Senatu, których prezydent nie zechciał zarządzić jednak się odbyły, by wybrany Sejm i Senat mogły się zebrać pomimo nie zwołania ich przez prezydenta i by ustawa, w odniesieniu do której Sejm obalił prezydenckie veto mogła wejść w życie pomimo nie podpisania jej przez prezydenta. Próbując odpowiedzieć na te pytania, przyjmujemy założenie, że prezydent nie jest władcą absolutnym – który według własnego widzimisię może decydować o tym, czy wybory mają się odbyć – czy też może lepiej nie – czy parlament może się zebrać, albo czy jakaś ustawa może zacząć obowiązywać pomimo tego, że jego veto wobec niej zostało

przełamane w sposób opisany w Konstytucji. Lecz kto w przypadku, gdyby prezydent nie zarządził wyborów do Sejmu i Senatu mógłby zarządzić przeprowadzenie jednak tych wyborów? Kto w przypadku niezwołania przez prezydenta pierwszego posiedzenia izb parlamentu mógłby jednak zwołać to posiedzenie? Kto mógłby zarządzić opublikowanie w dzienniku ustaw prawa, którego prezydent nie podpisał pomimo przełamania przez Sejm jego weta?

Odpowiedzią, która z pewnością wielu ludziom mogłaby przyjść na myśl jest odpowiedź, że w takich sytuacjach zadziałać powinien Marszałek Sejmu. Zgodnie z Konstytucją, marszałek Sejmu zastępuje w niektórych sytuacjach prezydenta – często nazywa się go drugą osobą w państwie.

Z merytorycznego punktu widzenia z takim pomysłem jak najbardziej się zgadzam. Lecz z formalnoprawnego punktu widzenia – gdyby się nim w sposób rygorystyczny kierować – mogłyby tu być kłopoty. Zwróćmy bowiem uwagę na to, w jakich sytuacjach marszałek Sejmu przejmuje obowiązki prezydenta. Sytuacje te wymienia art. 131 Konstytucji, zgodnie z którego ust. 1 „Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej nie może przejściowo sprawować urzędu, zawiadamia o tym Marszałka Sejmu, który tymczasowo przejmuje obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej. Gdy Prezydent Rzeczypospolitej nie jest w stanie zawiadomić Marszałka Sejmu o niemożności sprawowania urzędu, wówczas o stwierdzeniu przeszkody w sprawowaniu urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej rozstrzyga Trybunał Konstytucyjny na wniosek Marszałka Sejmu. W razie uznania przejściowej niemożności sprawowania urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Trybunał Konstytucyjny powierza Marszałkowi Sejmu tymczasowe wykonywanie obowiązków Prezydenta Rzeczypospolitej; zaś zgodnie z ust. 2 „Marszałek Sejmu tymczasowo, do czasu wyboru nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, wykonuje obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej w razie: 1) śmierci Prezydenta Rzeczypospolitej, 2) zrzeczenia się urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej, 3) stwierdzenia nieważności wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej lub innych przyczyn nieobjęcia urzędu po wyborze, 4) uznania przez Zgromadzenie Narodowe trwałej niezdolności Prezydenta Rzeczypospolitej do sprawowania urzędu ze względu na stan zdrowia, uchwałą podjętą większością co najmniej 2/3 głosów ustawowej liczby członków Zgromadzenia Narodowego, 5) złożenia Prezydenta Rzeczypospolitej z urzędu orzeczeniem Trybunału Stanu”. Czy wspomniane przeze mnie hipotetyczne przypadki zaniechań ze strony Prezydenta można podciągnąć pod coś, o czym jest mowa w art. 131 Konstytucji? Czymś, co przychodzi do głowy jest czasowa niemożność sprawowania urzędu przez prezydenta. Lecz jeśli nawet przypadki opisane przeze mnie w tym tekście można byłoby tak właśnie potraktować (z czym, jak sądzę, mogłyby być kłopoty – czasowa niemożność sprawowania urzędu przez prezydenta to raczej takie sytuacje, jak jego choroba i pobyt w szpitalu, albo przebywanie gdzieś poza Polską, szczególnie w przypadku braku łączności – a nie niechęć do wykonania jakiegoś swojego obowiązku) to zauważmy, że w przypadku czasowej niemożności sprawowania urzędu przez Prezydenta Marszałek Sejmu przejmuje jego uprawnienia wówczas, gdy Prezydent go o tym osobiście powiadomi, lub – jeśli prezydent nie jest w stanie poinformować marszałka o zaistniałej sytuacji – uprawnienia prezydenta powierzy Marszałkowi, na jego wniosek, Trybunał Konstytucyjny. Tu zaś zakładam, że prezydent nie poinformował Marszałka Sejmu o tym, że z powodu „przejściowej niemożności

sprawowania urzędu” – niezależnie jak interpretowanej (choćby nawet w najbardziej absurdalny sposób) nie może zarządzić przeprowadzenia wyborów, czy też zwołać pierwszego posiedzenia nowo wybranych Sejmu i Senatu, albo podpisać ustawy, do której prezydenckie veto zostało odrzucone przez Sejm. Zakładam też, że Trybunał Konstytucyjny nie powierzył Marszałkowi Sejmu tymczasowego wykonywania obowiązków Prezydenta RP – po to np. by mógł on w zastępstwie prezydenta zarządzić wybory. W sytuacji, w której prezydent po prostu nie wykonał swojego konstytucyjnego obowiązku np. zarządzenia wyborów do Sejmu i Senatu marszałek Sejmu niestety, ale mógłby *lege artis* stwierdzić, że jakkolwiek prezydent złamał Konstytucję, (np.) nie zarządzając wyborów, to jednak przepisy Konstytucji nie dają mu w takiej sytuacji prawa do tego, by zrobić coś, czego nie zrobił – choć miał obowiązek zrobić – Prezydent, gdyż nie zaszła żadna z opisanych w niej sytuacji, w których ma on prawo do wykonywania obowiązków Prezydenta.

Jak zatem we wspomnianych powyżej sytuacjach można byłoby doprowadzić do tego, by wybory się jednak odbyły, albo parlament się zebrał, czy też opublikowane w dzienniku zostało prawo, którego prezydent nie podpisał pomimo przełamania weta wobec niej przez Sejm? Była tu już mowa o sytuacji, w której marszałek Sejmu, powołując się na zapisy Konstytucji – które upoważniają go do wykonywania uprawnień prezydenta tylko w enumeratywnie wymienionych w niej okolicznościach – odmawia podjęcia decyzji leżącej w kompetencjach prezydenta, uzasadniając to tym, że nie nastąpiła żadna z okoliczności, w których byłby on upoważniony do wykonywania obowiązków prezydenta. Co w takiej sytuacji można byłoby jeszcze zrobić? Kolejną osobą, która zgodnie z Konstytucją może w niektórych przypadkach wykonywać uprawnienia prezydenta jest marszałek Senatu. Jednak wspomniane uprawnienia może on wykonywać tylko wówczas, jeśli nie może ich wykonywać marszałek Sejmu.

Co we wspomnianych tu hipotetycznych sytuacjach zatem pozostaje? Jeśli chodzi o przeprowadzenie wyborów, to logicznie nasuwającą odpowiedzią na to pytanie jest odpowiedź, że jeśli w przewidzianym przez prawo terminie wyborów nie zarządził Prezydent i nie zarządził ich też w jego zastępstwie marszałek Sejmu, ani marszałek Senatu, to wybory powinna samodzielnie zarządzić i zorganizować Państwowa Komisja Wyborcza. PKW mogłaby się oprzeć na zapisach w Kodeksie Wyborczym, które mówią, że „Państwowa Komisja Wyborcza jest stałym najwyższym organem wyborczym właściwym w sprawach przeprowadzania wyborów i referendum” (art. 157 § 1), oraz, że do zadań Państwowej Komisji Wyborczej w sprawach związanych z przeprowadzaniem wyborów należy m.in. sprawowanie nadzoru nad przestrzeganiem prawa wyborczego. Pojęcie „sprawowania nadzoru nad przestrzeganiem prawa wyborczego” na zdrowy rozum oznacza m.in. pilnowanie tego, by wybory w określonym przez prawo czasie się odbyły – zwróćmy uwagę na to, że Konstytucja, jakkolwiek nie określa jakiegoś konkretnego dnia wyborów, to określa mimo wszystko długość kadencji Sejmu, Senatu i Prezydenta i wskazuje na to, kiedy wybory – mniej więcej - powinny się odbyć. Lecz Konstytucja mówi też o tym, kto wybory zarządza. Można tu dodać, że wybory prezydenckie zarządza marszałek Sejmu – możemy więc – *per analogiam* do sytuacji wspomnianej powyżej – wyobrazić sobie, że będący w zмовie z prezydentem marszałek nie zarządza przeprowadzenia wyborów na urząd prezydenta w terminie określonym w Konstytucji. Oczywiście, marszałka Sejmu może wywalić ze

stanowiska po prostu większość posłów. Lecz nie jest przecież czymś niemożliwym to, że sejmowa większość byłaby w zмовie z marszałkiem i prezydentem w kwestii nie ogłoszenia terminu wyborów prezydenckich. Jakkolwiek we wspomnianego rodzaju sytuacjach jest zupełnie wyobrażalne, że stojąca na straży przestrzegania prawa wyborczego Państwowa Komisja Wyborcza z własnej inicjatywy zarządziłaby i zorganizowała wybory, to niestety jest też wyobrażalne, że PKW – opierając się na przepisach Konstytucji dotyczących tego, kto ma prawo zarządzić wybory (przepisy te, chciałbym zauważyć, zostały powtórzone w Kodeksie Wyborczym) – uznałaby, że nie jest ona uprawniona do przeprowadzenia wyborów – jeśli nie zarządził ich organ konstytucyjnie właściwy do podjęcia decyzji w tej kwestii. Zauważmy tu przy okazji, że PKW nie jest organem konstytucyjnym – istnieje tylko na podstawie ustawy Kodeks Wyborczy. Co z kolei z sytuacją, w której prezydent za dosłownie żadną cholerę nie chce podpisać i zarządzić ogłoszenia w Dzienniku Ustaw jakiegoś prawa, pomimo, że Sejm większością przynajmniej 3/5 głosów przełamał jego veto? Dziennik Ustaw, jak wiadomo, wydaje Prezes Rady Ministrów przy pomocy Rządowego Centrum Legislacji, które odpowiada za jego redakcję. Mógłby premier zarządzić opublikowanie w Dzienniku Ustaw prawa nie podpisanego przez prezydenta pomimo obalenia jego veta przez Sejm? Jest to zupełnie wyobrażalne, zwłaszcza, że art. 2 ust. 1 ustawy o ogłaszaniu aktów normatywnych i niektórych innych aktów prawnych z 20 lipca 2000 r. mówi, że ogłoszenie aktu normatywnego w dzienniku urzędowym jest obowiązkowe. Nie jest też jednak czymś po prostu zupełnie wykluczonym to, że premier w opisanym sytuacji stwierdziłby, że skoro osobą uprawnioną według Konstytucji do tego, by zarządzić ogłoszenie prawa w Dzienniku Ustaw jest prezydent, to on sam nie może zrobić tego, co nie leży w jego konstytucyjnych kompetencjach, choćby było to logicznie uzasadnione i merytorycznie słuszne.

Jakie rozwiązanie mogłoby – przynajmniej w sensie prawnym – wykluczyć opisane powyżej scenariusze? Otóż, takim rozwiązaniem wydają się np. w miarę sztywne, konstytucyjnie – lub przynajmniej ustawowo – określone terminy wyborów i początków kadencji Sejmu, Senatu i Prezydenta. Tak, jak ma to miejsce w USA. Zwróćmy tu na postanowienia XX Poprawki do tamtejszej Konstytucji:

„§1. Kadencja prezydenta i wiceprezydenta upływa w południe dnia 20 stycznia, a kadencja senatorów i członków Izby Reprezentantów w południe 3 stycznia tego roku, w którym kadencja upłynęłaby, gdyby niniejszy artykuł nie został przyjęty; w powyższych terminach rozpoczyna się następna kadencja.

§2. Kongres zbiera się co najmniej raz do roku, a pierwsze posiedzenie rozpoczyna się w południe dnia 3 stycznia, chyba że ustawa określi inny dzień.

A także na § 7 tytułu 2 Kodeksu Stanów Zjednoczonych, który stanowi, że „Wtorek następujący po pierwszym poniedziałku listopada w każdym roku parzystym jest ustanawiany jako dzień wyborów przedstawicieli i delegatów do Kongresu w każdym ze stanów i terytoriów Stanów Zjednoczonych”, jak również na § 1 tytułu 3 United States Code, według którego „Elektorzy prezydenta i wiceprezydenta zostaną wyznaczeni w każdym stanie w dniu wyborów, zgodnie z prawem danego stanu, uchwalonym przed dniem wyborów” – „dzień wyborów” definiowany jest w

3 U.S. Code § 21 jako „wtorek następujący po pierwszym poniedziałku listopada, co cztery lata po każdych wyborach prezydenta i wiceprezydenta odbywających się w każdym stanie, z wyjątkiem stanu, który wyznacza elektorów w głosowaniu powszechnym, jeśli stan zmieni okres głosowania, o ile to będzie konieczne z powodu zdarzeń siły wyższej, które mają charakter nadzwyczajny i katastrofalny; zgodnie z przepisami stanu uchwalonymi przed takim dniem, „dzień wyborów” obejmuje zmieniony okres głosowania.

Jak więc widać, w USA nie ma czegoś takiego, że Prezydent zarządza wybory do Kongresu i zarządza następnie jego pierwsze posiedzenie – terminy zarówno wyborów, jak i pierwszego posiedzenia Kongresu są po prostu określone przez prawo – w przypadku posiedzenia Kongresu bezpośrednio przez Konstytucję (jeśli chodzi o termin wyboru członków Izby Reprezentantów i Senatorów, a także elektorów Prezydenta, to Konstytucja w art. I § 4 mówi, że „Czas, miejsce i sposób przeprowadzania wyborów do Senatu i Izby Reprezentantów określa w każdym stanie jego ciało ustawodawcze. Zawsze jednak Kongres może w drodze ustawy wydać lub zmienić przepisy w tym przedmiocie, z wyjątkiem przepisów określających miejsce wyborów do Senatu”, zaś w art. II § 1, że „Kongres może określić czas wyboru elektorów oraz dzień, w którym mają oni oddać swe głosy; musi to być jednak ten sam dzień na całym obszarze Stanów Zjednoczonych”; przytoczone tu wcześniej przepisy Kodeksu Federalnego bezpośrednio realizują wspomniane przepisy Konstytucji). Nie ma też w USA czegoś takiego, że przewodniczący Izby Reprezentantów (czyli odpowiednik polskiego marszałka Sejmu) ogłasza termin wyboru elektorów prezydenta i następnie głosowania przez elektorów oraz liczenia głosów elektorskich w Kongresie – terminy te są po prostu określone przez prawo (to akurat, że system elektorski jest obecnie czymś zupełnie anachronicznym i niedorzecznym, to inna sprawa). W USA nie ma więc możliwości tego rodzaju, że wybory do Kongresu nie będą się mogły odbyć, gdyż nie zarządził ich – nawet zupełnie wbrew prawu – Prezydent, ani że wybory prezydenckie się nie odbędą dlatego, że nie zarządził ich tamtejszy „marszałek Sejmu” czyli przewodniczący Izby Reprezentantów. Podobnie, nie ma w USA możliwości, by projekt ustawy, który Prezydent zawetował, lecz wobec którego prezydenckie veto zostało przełamane przez Kongres (potrzeba do tego 2/3 głosów zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i Senacie; veto to jest więc faktycznie bardzo silne) nie stał się prawem z tego powodu, że prezydent uparł się przy jego niepodpisywaniu – z art. I § 7 Konstytucji w sposób jasny wynika, że w takim akurat przypadku projekt ustawy staje się prawem bez potrzeby podpisywania go przez prezydenta. Wspomniane w tym tekście problemy, które na tle polskiej Konstytucji mogłyby się ewentualnie pojawić (choć myślę – i miejmy taką nadzieję – że są to tylko możliwości teoretyczne i do realizacji żadnej z nich nigdy nie dojdzie) w USA są po prostu prawnie wykluczone. (6) Nie są więc w miarę sztywno – na wzór amerykański – określone terminy wyborów, czy też pierwszego posiedzenia nowego parlamentu czymś lepszym, niż zapisy w polskiej konstytucji, zgodnie z którymi termin wyborów parlamentarnych ogłasza Prezydent, a prezydenckich marszałek Sejmu? Ostatnie wydarzenia dają na to pytanie (acz cokolwiek pośrednio) jasną odpowiedź. Bo oczywiście Prezydent ma konstytucyjny obowiązek zarządzenia w odpowiednim terminie wyborów do Sejmu i Senatu (a marszałek Sejmu wyborów na urząd Prezydenta) – i nikomu nie przyszło pewnie do niedawna do głowy, że mógłby tego nie zrobić. Ale prezydent ma też obowiązek przyjąć ślubowanie od wybranych przez Sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego – lecz mimo tego

obowiązku rzeczy, która wydawała się oczywistością, nie zrobił. Słusznie twierdzi się, że zapis w art. 21 ust. 1 ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, według którego „Osoba wybrana na stanowisko sędziego Trybunału składa wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (...) ślubowanie (następującej treści)” nie oznacza, że ślubowanie to musi być złożone w fizycznej obecności Prezydenta – to, że ślubowania sędziów Trybunału Konstytucyjnego odbywały się w Pałacu Prezydenckim to po prostu był pewien zwyczaj – nie wymóg prawa. Jednak fakt, że czterech z nowo wybranej szóstki sędziów TK nie złożyło ślubowania bezpośrednio przed Prezydentem – wyłącznie z powodu jego złej woli (jakkolwiek sędziowie ci przekazali oczywiście notarialnie poświadczony akt ślubowania, ze słowami „wobec prezydenta” do prezydenckiej kancelarii) – ma, jak wiemy, realne skutki: prezes TK Bogdan Świączkowski upiera się przy tym, że dopuści nowych sędziów do urzędowania tylko pod warunkiem, że otrzyma od prezydenta potwierdzenie, że złożyli oni ślubowanie wobec niego. Zaś można być pewnym tego, że w przypadku czwórki sędziów, których prezydent nie zaprosił do Pałacu w celu złożenia przez nich ślubowania prezydent prezesowi TK takiego potwierdzenia nie przekaze. Jeśli więc prezydent, mimo prawnego obowiązku, nie odebrał ślubowania od sędziów Trybunału Konstytucyjnego, to – logicznie rzecz biorąc – nie jest rzeczą po prostu niemożliwą, by np. nie zarządził, w terminie określonym w Konstytucji, wyborów do Sejmu i Senatu. Rozwiązania tego rodzaju, jak wspomniane tu przepisy prawa amerykańskiego wykluczają prawdopodobieństwo nie odbycia się wyborów, nie zwołania parlamentu czy nie wejścia w życie ustawy, którą prezydent co prawda zawetował, ale jego veto zostało przełamane przez Kongres z powodu zaniechania ze strony kogoś, kto miał obowiązek zarządzić wybory, etc.. W Polsce takie rzeczy też, oczywiście, są bardzo mało prawdopodobne. Ale nie są, mimo wszystko, po prostu absolutnie wykluczone. Lepiej więc było, gdyby np. terminy wyborów nie musiały być ogłaszane przez takie czy inne organy, lecz wynikały one – tak jak jest to w USA – po prostu bezpośrednio z przepisów prawa. (7)

Przypisy:

1. Po zakończeniu urzędowania prezydent – jeśli Zgromadzenie Narodowe nie podjęłoby w okresie jego kadencji uchwały w sprawie postawienia go przed Trybunałem Stanu – mógłby jednak odpowiadać przed zwykłym sądem za przestępstwa popełnione w okresie sprawowania urzędu, w tym także te ściśle związane z jego pełnieniem – a więc takie, jak nadużycie władzy czy niedopełnienie obowiązku (wspomniany już art. 231 k.k.). Warto zauważyć, że w czasie sprawowania przez prezydenta urzędu przedawnienie popełnionych w tym czasie przez niego przestępstw nie biegnie.
2. Istniejące bezsprzecznie w zdecydowanej większości powszechnie uważanych za absolutnie demokratycznych krajów ograniczenia swobody wypowiedzi – w rodzaju choćby zakazów „mowy nienawiści” - czy też działania pewnych organizacji – takich, jak np. partie o charakterze neonazistowskim – które, co by o nich złego nie powiedzieć, nie są organizacjami mającymi na celu przygotowywanie i dokonywanie aktów fizycznego terroru, lecz po prostu grupami ludzi o skrajnych poglądach – nie powodując tego, że te kraje nie są demokracjami (przepraszam bardzo, ale trudno

byłoby chyba w poważny sposób twierdzić, że np. wspomniane tu już Niemcy nie są demokracją – albo, że demokracją nie jest Francja, Wielka Brytania, czy nawet Polska) stanowią znaczącą rysę na ich demokratycznym – a także wolnościowym – charakterze. Dlaczego? Otóż przede wszystkim dlatego, że demokracja oznacza z greckiego „władzę ludu”. Nie chodzi tu oczywiście o władzę absolutną – czyli dyktaturę większości. Oznacza ona jednak w każdym razie to, że to ludzie – potencjalni wyborcy – decydują o tym, jakie poglądy polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne, moralne, etyczne, światopoglądowe itd. odpowiadają im, a jakie nie – i w oparciu o dokonaną na podstawie pełnej oferty istniejących w społeczeństwie idei ocenę w dniu wyborów podejmują decyzję w kwestii tego, komu powierzyć rządy. Przepisy ograniczające wolność słowa – w rodzaju zakazów publicznego nawoływania do nienawiści (bądź co bądź, wciąż tylko emocji) na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, etc., publicznego znieważania grup narodowościowych, etnicznych, itd., publicznego propagowania określonych ideologii (np. nazizmu, faszystów i komunizmu), publicznego znieważania obiektów kultu religijnego – w sensie pejoratywnego odnoszenia się do tych obiektów (a więc np. Boga), a także oczywiście publicznego znieważania organów władzy (np. prezydenta), czy też Państwa, Narodu czy symboli narodowych mają na celu to, by pewne – uważane za potencjalnie niebezpieczne i/lub obraźliwe – stwierdzenia nie były szerzone w społeczeństwie i by ludzie nie mogli się z tymi stwierdzeniami - przynajmniej prezentowanymi z „pierwszej ręki” - zapoznać. Można zatem powiedzieć, że państwo (czy też społeczeństwo – zakładam, że przepisy ograniczające wolność słowa zostały uchwalone przez wybrany w powszechnych wyborach parlament) które ogranicza zakres swobody komunikowania poglądów i informacji na temat tego, co można określić mianem szeroko pojętych spraw publicznych nie odrzucając jawnie demokracji „chce” mieć mieć demokrację nieco przynajmniej kontrolowaną.

Ta chęć kontrolowania demokracji poprzez zabezpieczenie jej przed możliwym wpływem na wyborców antydemokratycznych, czy wręcz totalitarnych (albo mogących prowadzić do łamania praw człowieka) ideologii opiera się oczywiście na dobrych chęciach. Zwolennik „demokracji walczącej” z pewnością z pewnością powiedziałby, że taki przepis, jak art. 256 k.k. zgodnie którego § 1 „kto publicznie propaguje nazistowski, komunistyczny, faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”, zaś według § 2 „tej samej karze podlega, kto publicznie propaguje ideologię nazistowską, komunistyczną, faszystowską lub ideologię nawołującą do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne” istnieje po to, by wykluczyć taki bieg wydarzeń, że polskie państwo stanie się państwem nazistowskim, komunistycznym czy faszystowskim – lub przynajmniej zminimalizować prawdopodobieństwo tego, że tak się może stać; dorzuciłby on też zapewne, że przepisy te mają na celu zminimalizowanie prawdopodobieństwa przemocy czy też dyskryminacji przeciwko ludziom należącym do (zwłaszcza)

mniejszości narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych (i grupy quasi wyznaniowej, jaką są ateści i agnostycy), czy też w ogóle szerzej pojętej przemocy o podłożu politycznym czy ideologicznym. Ma on więc na celu ochronę demokracji – i w jej ramach pokojowego współistnienia różnych grup społecznych – szczególnie grup charakteryzujących się takimi cechami, jak określona przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa, czy brak wyznania religijnego.

Z twierdzeniem, że coś takiego jest zakładanym celem istnienia w systemie prawnym przepisów tego rodzaju, jak art. 256 polskiego k.k. można się zgodzić (a w każdym razie, dla dobra argumentacji warto to zakładać). Lecz gdyby się nieco głębiej zastanowić nad myśleniem zwolenników tego rodzaju zakazu wypowiedzi, to nietrudno jest dojść do wniosku, że myślenie to jest w jakiejś przynajmniej mierze tak naprawdę *antydemokratyczne*. Nie w tym sensie, by zwolennicy zakazów propagowania ustrojów totalitarnych i szerzenia „mowy nienawiści” byli zwolennikami dyktatury, monarchii absolutnej czy rządów partyjnej oligarchii w stylu PRL. Spokojnie można powiedzieć, że zwolennicy tego typu ograniczeń wolności słowa w krajach demokratycznych zwolennikami niedemokratycznego ustroju państwa w olbrzymiej większości nie są. Lecz mimo wszystko, trudno nie odnieść wrażenia, że ci, którzy opowiadają się za tępieniem przy użyciu represji propagowania ogólnie rzecz biorąc potencjalnie niebezpiecznych – także dla demokracji – idei charakteryzują się głęboką nieufnością wobec ludzi – w tym zwłaszcza tzw. mas. Jeśli poważnie uważają oni, że przepisy tego rodzaju, co art. 256 polskiego k.k. są niezbędne dla ochrony demokracji (i pokojowego współistnienia wskazanych w nich grup społecznych) to muszą oni myśleć w taki mniej więcej sposób: jeśli pozwoli się na propagowanie np. nazizmu, to jakaś część ludzi zostanie do (np.) nazizmu przekonana. Nie koniecznie oznacza to, że Polska stanie się od razu czymś w rodzaju III Rzeszy – oczywiście jest, że do nazizmu, w przypadku prawnej swobody jego propagowania – nie zostaliby przekonani wszyscy; najprawdopodobniej byłaby to naprawdę niewielka część społeczeństwa. Zwolennicy takich ograniczeń wolności słowa, jak te wskazane w art. 256 k.k. niewątpliwie jednak uważają, że jeśli te zakazy zostały zniesione, to pewne rzeczy – będące w pewnym sensie czymś „nie do pomyślenia” – mogą się stać czymś jak najbardziej „do pomyślenia” – a jeśli tak, to – przynajmniej potencjalnie – również do zrobienia.

Myślenie takie może być absolutnie szczere i nie jest ono czymś absurdalnym (z wyjątkiem jego ewentualnych skrajnych wersji typu „jeśli zakaz propagowania nazizmu zostałby zniesiony, to w Polsce na 100% powstanie ustrój nazistowski” – sądzę, że żaden ze zwolenników istnienia w kodeksie karnym art. 256 aż czegoś takiego nie uważa). Myślenie wspomnianego rodzaju warto jest jednak skonfrontować z rzeczywistością. Czy zakazy tego rodzaju, jak ten zapisany w art. 256 polskiego k.k. zapobiegają zagrożeniom, jakim – z założenia – mają one przeciwdziałać? Jeśli tak by było, to po wielu dziesięcioleciach obowiązywania takich zakazów w krajach europejskich miłośników ideologii tego rodzaju, co nazizm powinno być mniej, niż choćby w USA, gdzie za propagowanie ustrojów i ideologii wskazanych w „naszym” art. 256 k.k. – oraz za „nawoływanie do nienawiści” – nie grozi żadna kara. Jak jednak

jest faktycznie? Otóż, jeśli chodzi o popularność nazizmu, faszyzmu, czy komunizmu w Stanach Zjednoczonych, to całkiem dobrze pokazują ją pełne listy kandydatów na urząd prezydenta USA. Wśród [1212 osób, które postanowiły ubiegać się o to stanowisko w wyborach w 2020 r.](#) ludzi określających się jako naziści, czy faszyci – albo – dajmy na to – reprezentanci Ku Klux Klanu – było dokładnie zero, zaś komunistów znalazło się dwóch. W [kolejnych wyborach](#) również nie było żadnych nazistów czy faszystów, komunistów za to było aż... trzech (ktoś mógłby tu zadać pytanie – a co z Donaldem Trumpem? – jeśli chodzi o to, to obecnemu prezydentowi USA nie bez racji przypisuje się cechy podobne do tych, jakie mieli przywódcy faszystowscy – np. John Kelly, były szef personelu Białego Domu i emerytowany generał korpusu piechoty morskiej, stwierdził w wywiadzie dla The New York Times, że Trump „spełnia definicję faszysty” i przejawia cechy autorytarne, preferując model rządzenia typowy dla dyktatorów”, a Mark Milley, były przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, określił Trumpa jako „najbardziej niebezpiecznego człowieka w kraju” i „faszystę do szpiku kości”, lecz nigdy nie zetknąłem się z informacją, by Trump np. wychwalał Hitlera czy propagował wprowadzenie w USA rządów w stylu III Rzeszy). Tymczasem w Niemczech – gdzie propagowanie nazizmu, a także szerzenie nienawiści narodowościowej, rasowej, etnicznej, religijnej itd. jest surowo karane według tamtejszego Urzędu Ochrony Konstytucji liczba prawicowych ekstremistów wzrosła w latach 2015 – 2025 od 20 tys. do 50 tys. Z kolei w Austrii, gdzie od 1945 r. obowiązuje prawo zwane [Verbotsgesetz](#) (czyli po polsku „Ustawa o zakazie”), które pod groźbą wieloletnich kar więzienia zabrania podejmowania wszelkich prób odbudowania NSDAP i innych organizacji nazistowskich, a także gloryfikowania nazizmu i w ogóle wszelkiego działania „w sensie nazistowskim” w przeprowadzonym w 2013 r. sondażu opinii publicznej 42% Austriaków stwierdziło, że za Hitlera wcale nie było źle, zaś 54% badanych wyraziło opinię, że gdyby NSDPA nie była w Austrii zakazana, to wygrałaby tam ona wybory. Dalej, w krajach, gdzie obowiązują zakazy „mowy nienawiści” w stylu polskich artykułów 256 czy 257 k.k. (ten drugi, również pod groźbą kary do 3 lat więzienia zabrania publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej, albo z powodu jej bezwyznaniowości, a także naruszenia z któregoś z tych powodów nietykalności cielesnej innej osoby) „przestępstw z nienawiści” tego rodzaju, co fizyczne ataki na ludzi z powodu takich ich cech, jak narodowość, rasa, wyznanie, czy orientacja seksualna – którym tego rodzaju przepisy mają w założeniu zapobiegać już w zarodku, hamując wypowiedzi mogące przyczyniać się do kształtowania przekonań i pobudzania emocji mogących stać się podłożem dla takich czynów - jest wyraźnie więcej, niż w USA, gdzie tego rodzaju zakazów wypowiedzi nie ma (w USA może być karalne nawoływanie do działań przestępczych, ale tylko wówczas, gdyby chodzi o natychmiastowe wzniecenie takich działań i wywołanie takich działań w konkretnej sytuacji jest rzeczywiście prawdopodobne). Szczególnie uderzające są tu różnice, jeśli chodzi o liczby „hate crimes” przeciwko Żydom – a więc tej „grupie ludności” o której można powiedzieć m.in. to, że odnosząca się do niej „mowa nienawiści” jest w tych krajach, które zakazują takiej „mowy” tępią w sposób szczególnie zaciekle. I

tak np. z danych przedstawionych na stronie <https://hatecrime.osce.org/hate-crime-report> wynika, że w 2024 r. w USA odnotowano 178 antysemickich przestępstw z nienawiści o charakterze fizycznych ataków na osoby. W Niemczech takich przestępstw było w tym samym roku (według oficjalnych danych) 105 – nieco więc mniej - tylko pamiętajmy o tym, że ludność Niemiec jest ok. 4 razy mniejsza, niż ludność USA, a Żydów mieszka w Niemczech ok. 34 razy mniej, niż w USA (jeśli chodzi o tzw. populację rozszerzoną). Porównania liczb antysemickich przestępstw z nienawiści w USA i innych europejskich krajach wyglądają podobnie (wspominałem o tym np. tu <https://bartlomiejkozowski.pl/braun.htm>).

Z ideą ochrony demokracji – a także praw człowieka, praworządności itd. przy użyciu ograniczeń wolności słowa związane są w ogóle paradoksy, co do których jest dziwne, że – zdaje się – ich się nie zauważa. W obronie zakazów tego rodzaju, co te sformułowane w art. 256 i 257 k.k. mógłby ktoś powiedzieć np. to, że nie posuwają się one jakoś bardzo daleko. No bo tak – przypisy te (ani żadne inne obowiązujące w polskim prawie) nie zabraniają krytykowania demokracji – czy też praw człowieka, bądź zasad państwa prawa. Nie zabraniają propagowania w sposób oczywiście nie demokratycznych ustrojów państwowych – takich, jak np. absolutna monarchia, czy dyktatura wojskowa – jako takich, w każdym razie. Nie zakazują głoszenia wszelkich stwierdzeń mogących rzucać negatywne światło na takie czy inne grupy narodowościowe, etniczne, rasowe, religijne i mogących się przyczyniać do wywoływania wrogich emocji wobec takich grup – nie zakazują one, przykładowo, mówienia i pisania o np. islamskim terroryzmie, grupach przestępczych złożonych z przedstawicieli takich czy innych nacji, etc., czy też wspominać np. o Żydach w UB, Żydach witających wkraczającą 17 września na wschodnie tereny II RP Armię Czerwoną, czy o tym, że Żydzi zabili Pana Jezusa (a w każdym razie, doprowadzili do Jego śmierci, bo fizycznie zabili Go jednak Rzymianie), a także np. o okrucieństwach izraelskiej armii wobec Palestyńczyków w Strefie Gazy. Zabraniają one jedynie raczej wąskiego wycinka antydemokratycznych i nietolerancyjnych poglądów – propagowania totalitaryzmów (a nie wszelkich ustrojów autorytarnych, nie demokratycznych, czy tym bardziej nie całkiem demokratycznych), oraz nawoływania do nienawiści – a nie np. jedynie niechęci, czy uprzedzeń – „na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze względu na bezwyznaniowość” a także znieważania grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych i charakteryzujących się bezwyznaniowością – czyli inaczej mówiąc odnoszenia się do takich w sposób obelżywy czy poniżający – a nie np. wszelkiej krytyki postępowania członków takich grup. Można byłoby zatem twierdzić, że to (względnie przynajmniej) dobrze – zakazy wypowiedzi w polskim prawie nie posuwają się jakoś skrajnie daleko, nie sięgają czegoś, co można byłoby uznać za oczywisty absurd.

Lecz z punktu widzenia kogoś, kto uważa, że demokrację – a także prawa człowieka, praworządność, etc. należy chronić zakazując wypowiedzi, które mogą prowadzić do tego, że niektórzy ludzie zostaną przekonani do opinii potencjalnie niebezpiecznych

dla tych wartości – i myśli tak w sposób konsekwentny – w tym, o czym była powyżej mowa może stanowić całkiem poważny „zgrzyt”. Bo ile w końcu poglądów potencjalnie niebezpiecznych dla demokracji nie jest jednak zakazanych? Zauważmy też taką rzecz – jeśli miałbym wskazać jakąś wypowiedź, która w sposób praktycznie rzecz biorąc oczywisty naruszałaby zapisany w art. 256 k.k. zakaz „propagowania totalitarnego ustroju państwa” to myślę, że taką wypowiedzią mogłoby być przekonywanie do wprowadzenia w Polsce takiego ustroju, jak ten, który istnieje w Korei Północnej. A więc takiego, gdzie wszyscy muszą nieustannie studiować dzieła Wielkiego Wodza, donosić na siebie nawzajem, gdzie panuje totalna cenzura, wszechobecne podsłuchy (i rejestrowanie tego, co ludzie robią przy użyciu kamer video), totalny brak prywatności, nieustanne szkolenia ideologiczne i gdzie do cioci w sąsiednim miasteczku nie można pojechać bez stosownego zezwolenia i gdzie można dostać karę śmierci za np. oglądanie zagranicznych filmów. To, że propagowanie ustroju Korei Płn w sensie przekonywania do wprowadzenia takiego ustroju w Polsce stanowiłoby określone w art. 256 § 1 k.k. przestępstwo publicznego propagowania nazistowskiego, komunistycznego, faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, jest rzeczą pewną. No – tylko ilu ludzi można byłoby naprawdę przekonać do idei wprowadzenia w Polsce takiego ustroju? Z kolei propagowanie po prostu rządów „silnej ręki” – w stylu choćby rządów przedwojennej sanacji – pod art. 256 k.k. by nie podpadało, gdyż czegokolwiek złego by o nich nie powiedzieć, nie były to rządy totalitarne w tym samym sensie, co rządy Hitlera, Stalina, Bieruta, czy nawet Gomułki, albo Gierka czy Jaruzelskiego (myślę, że trzy ostatnie z nich były rządami raczej autorytarnymi, niż totalitarnymi). Jednak – przynajmniej w sytuacjach jakichś kryzysów i napięć społecznych – idea rządów „mocnego człowieka” mogłaby zyskać niemało, jak sądzę, zwolenników. Idei takiej raczej zaszkodziłoby jednak jawne odwoływanie się do takich ideologii i koncepcji ustrojowych, jak nazizm, komunizm czy faszyzm – ktoś wprost propagujący takie ideologie w kraju, w którym wiadomo, do czego ideologie takie prowadziły w przeszłości na własne życzenie wyklucza się grona tych, którzy mogą liczyć na większe, niż marginalne poparcie społeczne. Podobnie – bardziej już odnosząc się do „nawoływania do nienawiści” czy „znieważania grupy ludności” – nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy np. w to, że jakaś grupa narodowa, etniczna, rasowa, religijna, etc. składa się z samych złodziei, bandytów, morderców, terrorystów, oszustów, czy innych szubrawców i przestępców. Jawnie obelżywe i nienawistne stwierdzenia na temat takiej czy innej grupy narodowej, itp. dla elementarnie rozsądnego człowieka są po prostu pokazem złych emocji ich autora – nie czymś, co choćby tylko może być prawdą (bo oczywiste jest, że żadna wielka grupa osób – taka, jak np. jakiś naród, czy cała rasa, albo wyznawcy określonej religii – nie składa się wyłącznie, czy w jakiejś dużej mierze z osób, którym w sposób uczciwy można przypisać jakieś wysoce pejoratywne właściwości – jasne jest, że wszelkie tego rodzaju grupy są zróżnicowane – składają się z osób dobrych, złych, mądrych, głupich, pracowitych, leniwych, itd.). Jeśli ktoś więc wypowiada w sposób oczywisty podpadające pod art. 257 k.k. stwierdzenie, że wszyscy członkowie jakiejś grupy narodowej, etnicznej, rasowej, czy religijnej bandyci, mordercy i złodzieje (stwierdzenie takie można by też było podciągnąć pod

„nawoływanie do nienawiści” – z powodzeniem przecież można byłoby twierdzić, że celem jego wypowiedzenia jest pobudzanie do nienawiści wobec osób należących do wskazanej w nim grupy) to wypowiada rzecz oczywiście absurdalną. Lecz jeśli ktoś mówi, czy pisze o np. islamskim fundamentalizmie religijnym, zamachach terrorystycznych dokonywanych przez islamistycznych fanatyków (którymi są w końcu tylko niektórzy muzułmanie), o islamskim prawie religijnym – Szariacie – w którym najcięższą, bezwzględnie zasługującą na ukaranie śmiercią zbrodnią jest odejście od islamu i które przewiduje kary chłosty czy nawet ukamienowania za np. pozamałżeński seks i picie alkoholu, a także o np. napływie muzułmańskich uchodźców do Europy, problemach z ich społeczną integracją, czy o tym, że muzułmanie za jakiś czas zdominują liczebnie społeczeństwa europejskich krajów (to ostatnie twierdzenie jest – jeśli chodzi o przynajmniej jakąś względnie bliską perspektywę – cokolwiek przesadzone – według AI w przypadku rekordowych napływów z lat 2014–2016 muzułmanie stanowiliby w 2050 r. ok. 14% populacji naszego kontynentu) to nie wygłasza po prostu absurdów. Można w sposób rozsądny przypuszczać, że takie wypowiedzi – wcale nie nawołujące do nienawiści wobec muzułmanów jako grupy ludzi o określonym wyznaniu i wcale nie znieważające tej „grupy ludności” - mogą przyczyniać się do budzenia złych emocji – w tym przede wszystkim strachu – wobec nich – a to właśnie ta ostatnia emocja jest w największej mierze podłożem „przestępstw z nienawiści” w rodzaju pobić, itp. Podobnie, mówienie i pisanie o brutalności działań izraelskiej armii w strefie Gazy i o wynikających z nich cierpieniach tamtejszej ludności nie jest przestępstwem. Lecz zaostrzeniu się izraelsko – palestyńskiego konfliktu wokół Strefy Gazy zawsze towarzyszył wzrost liczby ataków na Żydów czy należące do nich mienie w takich krajach, jak Niemcy czy Francja – jest oczywiste, że był to efekt relacji na temat tego konfliktu – nikt przecież nie może bezpośrednio widzieć, słyszeć i odczuwać tego, co dzieje się kilka tysięcy kilometrów od miejsca, w którym się znajduje. Przykład Niemiec, gdzie w latach 90 przemoc skierowana przeciwko imigrantom dużo częściej dotyczyła członków tych grup, o których szczególnie dużo mówiono i pisano w mediach (bynajmniej nie w sposób nienawistny, czy obraźliwy), niż osób należących do takich grup, które obiektywnie rzecz biorąc powodowały największe problemy społeczne – w rodzaju powodowania konkurencji na rynku pracy i rynku mieszkaniowym (taką grupą byli niemieccy repatrianci z byłego ZSRR, o których jednak mówiono i pisano bardzo mało) pokazuje, że wypowiedzi nie będące „nawoływaniem do nienawiści”, „znieważaniem grupy ludności” czy też (rzecz jasna) nawoływaniem do przemocy, lecz po prostu sugerujące to, że członkowie pewnych grup są źródłem takich, jak wspomniane problemów mogą przyczyniać się do „przestępstw z nienawiści” tak samo – i to prawdopodobnie w znacznie większym stopniu – jak wypowiedzi, które można byłoby uznać za przestępstwo (np. to określone w art. 130 niemieckiego k.k., zgodnie z którym za nawoływanie do nienawiści, przemocy lub arbitralnych działań przeciwko części populacji, albo zniesławienie, złośliwe oczernianie lub zniesławienie części populacji grozi kara do 5 lat więzienia).

Jeśli więc zakazy wypowiedzi miałyby naprawdę zapobiegać rasistowskiej, ksenofobicznej, homofobicznej, itd. przemocy, to musiałyby one hamować – i to w sposób skuteczny – bez porównania szerszy zakres ekspresji, niż ewentualnie mogą hamować istniejące przepisy przeciwko „hate speech”. Nie wiadomo, oczywiście czy taka metoda zapobiegania „hate crimes” byłaby skuteczna, pewne jest natomiast, że prowadziłyby ona do zamiany lekkiego zamordyzmu, jakim są (m.in.) istniejące w krajach zachodnich zakazy „mowy nienawiści” w zamordyzm niezwykle daleko posunięty; warto w tym kontekście przytoczyć stwierdzenie sędziego O. W. Holmesa z jego *votum separatum* w sprawie [Gitlow v. New York](#) (1925) „*every idea is an incitement*” – jeśli można karać za szerzenie np. poglądów rasistowskich z tego względu, że mogą one prowadzić do rasistowskich aktów przemocy, to powstaje pytanie, dlaczego nie można by karać za np. głoszenie twierdzeń, że aborcja jest morderstwem, bo przecież ludzie przekonani do takiego poglądu mogą popełnić przestępstwo tego rodzaju, co podpalenie kliniki abortyjnej albo zabicie lekarza wykonującego zabiegi przerwania ciąży z bez porównania większym prawdopodobieństwem, niż ci, którzy uważają, że aborcja jest zwykłym zabiegiem medycznym – albo za propagowanie poglądu, że zakaz aborcji jest brutalnym naruszeniem prawa kobiet do decydowania o sobie, gdyż ludzie przekonani do takiej opinii mogą być znacznie bardziej skłonni do napaści na rzeczników zakazu aborcji, niż ludzie nie przekonani do niej – bądź dlaczego nie zabronić mówienia i pisania o cierpieniach zwierząt zabijanych na mięso i futra lub wykorzystywanych w laboratoryjnych doświadczeniach skoro bez takich wypowiedzi fizyczne ataki na rzeźnie, firmy futrzarskie i laboratoria, gdzie eksperymentuje się na zwierzętach niemal nie miałyby szansy się zdarzać („niemal” - bo oczywiście, że niektóre takie czyny mogą być powodowane przez biznesową konkurencją albo przez np. piromanów, lecz zdecydowana większość z nich jest dokonywana przez osoby przekonane do opinii, że eksploatacja zwierząt jest złem wymagającym powstrzymania go za wszelką niemal cenę; hipotetycznie rzecz biorąc, dojście do takiego poglądu może być wynikiem osobistego napatrzania się na to, co dzieje się np. w rzeźni, ale zdecydowana większość radykalnych obrońców praw zwierząt nie miała takich akurat osobistych doświadczeń); nasuwają się też pytania, dlaczego np. nie zabronić wyrażenia twierdzeń o potencjalnie katastrofalnych skutkach manipulacji genetycznych, nanotechnologii, globalnego ocieplenia, czy technologii 5G, bo przecież bez przekonania niektórych ludzi o groźbie takich skutków nie byłoby ataków na laboratoria, gdzie prowadzi się badania w dziedzinie genetyki lub nanotechnologii, bądź podpalania oskarżanych o szczególne przyczynianie się do globalnego ocieplenia samochodów typu SUV i masztów telefonii komórkowej rzekomo wykorzystujących technologię 5G; albo dlaczego nie zakazać gloryfikowania nienaruszonej przez ludzi przyrody i mówienia o jej niszczeniu przez ludzki gatunek z tej przyczyny, że przekonania i emocje pobudzane przez takie wypowiedzi mogą stać się podłożem takich czynów, jak np. niszczenie budynków, których wznoszenie z samej konieczności niszczy nieco stanowiącą dla osób, na których poglądy takie wypowiedzi miały zasadniczy wpływ największą wartość przyrodę; albo dlaczego nie zakazać w ogóle krytykowania władzy, uzasadniając taki zakaz tym, że wśród ludzi

przekonanych do opinii, że winnymi jakichś nieszczęść dotyczących czy to bezpośrednio ich czy też innych są politycy osoby skłonne do wywołania antyrządowych zamieszek mogą się znaleźć nieporównanie prędzej, niż wśród będących zdania, że ich los jest wynikiem ślepego trafu (zadajmy w tym kontekście pytanie, jakie jest prawdopodobieństwo tego, by antyrządowe zamieszki mogli wzniecić ludzie, którzy nigdy w życiu nie słyszeli o rządzie? – jest to chyba pytanie retoryczne), czy też dlaczego nie zabronić publikowania np. Koranu, uzasadniając to tym, że ktoś pod wpływem jego lektury może stać się muzułmaninem, a w odrobinę tylko dalszej konsekwencji radykalnym islamistą i islamistycznym terrorystą, lub dlaczego nie zakazać mówienia i pisanie o bulwersujących opinię publiczną zdarzeniach, takich, jak np. zabicie kogoś przez policjanta z tego powodu, że takie czyny, jak rozruchy w wielu amerykańskich (i nie tylko amerykańskich) miastach po śmierci uduszonego przez białego policjanta Afroamerykanina George’a Floyda, bądź podpalenia kościołów w Kanadzie po odkryciach grobów indiańskich dzieci na terenach prowadzonych niegdyś przez instytucje wyznaniowe tzw. szkół rezydencjalnych nie miałyby szansy nastąpić bez wypowiedzi informujących o takich zdarzeniach - których przecież w większości miejsc, gdzie doszło do czynów wywołanych oburzeniem wobec tego, co zrobił biały policjant Derek Chauvine i w wobec tego, co w „szkołach rezydencjalnych” robiono kiedyś z indiańskimi dziećmi nikt nie mógł bezpośrednio zauważyć na własne oczy. Albo dlaczego nie zabronić rozpowszechniania książek czy filmów, w których tacy czy inni ludzie znajdowali inspirację do przestępczych działań – a takich znalazłoby się naprawdę dużo. Jeśli powodem zakazu „mowy nienawiści” – nie będącej bezpośrednio niebezpiecznym w konkretnym miejscu i czasie podżeganiem do przemocy – tego rodzaju, co wzywanie rozwścieżonego tłumu do zlinczowania osoby będącej obiektem wściekłości tego tłumu i znajdującej się pod ręką – a nie nie wiadomo gdzie, lub przynajmniej daleko – w którym to przypadku ludzie zachęceni do popełniania przestępstwa raczej by się uspokoili, po części w wyniku uświadomienia sobie, że zrobienie tego, do czego byli wzywani z dużym prawdopodobieństwem skończy się dla nich trafieniem za kratki - może być to, że nienawistna mowa może przyczyniać się do nienawistnych czynów – to w oparciu o argumentację analogiczną do tej, przy użyciu której uzasadnia się zakazy „hate speech” można byłoby z powodzeniem uzasadnić cenzurę czy kryminalizację olbrzymiego zakresu ludzkiej ekspresji. Zakazy te stawiają więc wolność słowa na potencjalnie śliskim gruncie – jeśli nawet odrzucamy obawy przed tym, że w drodze tzw. mechanizmu równi pochyłej doprowadzą one do zakazania choćby takich wypowiedzi, jak te, o których była tu mowa (choć trzeba powiedzieć, że obawy przed takim mechanizmem nie są absurdalne jako takie – świadczyć mogą o tym chociażby podejmowane w Polsce próby rozszerzenia zakresu zakazów zapisanych w art. 256 i 257 k.k.), to zakazy takie niewątpliwie stanowią (sprzeczną poniekąd z art. 32 Konstytucji) dyskryminację ludzi ze względu na ich przekonania – niewątpliwie jest taką dyskryminacją karanie za znieważanie takich grup czy nawoływanie do nienawiści przeciwko takim „grupom ludności” jak – przykładowo – Żydzi, Ukraińcy, Łemkowie, Niemcy, Ślązacy, Kaszubi, prawosławni, protestanci, muzułmanie, katolicy, czy ateści i jednocześnie nie karanie za takie same, co do

formy wypowiedzi na temat takich grup, jak np. rolnicy, robotnicy, nauczyciele, lekarze, pielęgniarki, górnicy, naukowcy, policjanci, żołnierze, bezrobotni, bezdomni, biznesmeni, itd. (odnośnie „mowy nienawiści” zakazanej przez art. 256 i 257 k.k. chciałbym też zauważyć jeszcze jedną rzecz – taką mianowicie, że nie jest w Polsce czymś zakazanym chociażby „mowa nienawiści” na tle różnic politycznych i „mowy” tej jest niewątpliwie mnóstwo. Jednak mimo mnogości takiej „mowy” i autentycznie nienawistnych emocji trudno jest powiedzieć, że „mowa” taka prowadzi do jakichś katastrofalnych skutków – bądź co bądź nie słyszymy o tłumach ludzi nienawidzących Koalicji Obywatelskiej, PiS-u, Lewicy, Konfederacji, Konfederacji Korony Polskiej czy jeszcze innych ugrupowań, które motywowane tą nienawiścią napadałyby na zwolenników znienawidzonych przez nich ugrupowań, czy siedziby partii politycznych; oczywiście, okazjonalnie zdarzają się przestępstwa, co do których można twierdzić, że zostały popełnione na tle nienawiści politycznej, ale związek przyczynowo – skutkowy tych przestępstw z tym, co można byłoby uznać za „polityczną mowę nienawiści” – w sensie wypowiedzi, które gdyby dotyczyły grup narodowych, rasowych, etnicznych, czy religijnych można byłoby uznać za przestępstwa z art. 256 czy 257 k.k. jest raczej wątpliwy – przypomnijmy w tym kontekście, że Ryszard Cyba, który w październiku 2010 r. dokonał morderstwa i usiłowania morderstwa w biurze poselskim PiS w Łodzi był silnie motywowany przekonaniem, że prezydent Lech Kaczyński doprowadził do katastrofy smoleńskiej, zmuszając załogę samolotu Tu-154 M do lądowania we mgle na słabo wyposażonym w przyrządy nawigacyjne wojskowym lotnisku Smoleńsk – Sierwierny, ktoś, kto w 2017 r. podpalił biuro posłanki Beaty Kempy był pod wpływem krytyki pisowskiego projektu zmian w kodeksie wyborczym ze strony posła PO Borysa Budki, polityków PSL i „Nowoczesnej” oraz różnych dziennikarzy, zaś na zabójcę prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza prawdopodobnie w największym stopniu wpłynął fakt przetrzymywania go na tzw. „ence” w więzieniu, z czego cokolwiek opacznie wyciągnął wniosek, że był torturowany przez Platformę Obywatelską - do której w czasie popełnienia dokonanej przez niego zbrodni Paweł Adamowicz już nie należał. Zachodzi więc pytanie o to, czy „mowa nienawiści” na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, z powodu czyjejś bezwyznaniowości – albo odnosząca się np. do osób LGBT – jest na tyle groźniejsza od „mowy nienawiści” skierowanej przeciwko różnym partiom politycznym i ich zwolennikom, że zasługuje na odmienne traktowanie; polityczna „mowa nienawiści” – o ile nie jest nawoływaniem do popełnienia przestępstwa, ewentualnie pochwalaniem przestępstwa nie jest w Polsce karalna i nie ma planów na to, by to zmienić, aczkolwiek w 2012 r. Platforma Obywatelska przedstawiła swój projekt w tej m.in. kwestii; krytykowałem go tu <https://bartlomiejkozowski.pl/256.htm>; ponieważ zakaz nawoływania do popełnienia przestępstwa – i siłą rzeczy także pochwalania przestępstwa, w tej przynajmniej formie, w jakiej występuje on w polskim prawie krytykowałem np. tu <https://bartlomiejkozowski.pl/pubnaw.htm>).

Ponadto wszystko, zakazy wypowiedzi tworzą zafałszowany obraz poglądów występujących w społeczeństwie. Prowadzą do takich np. rzeczy, jak pamiętny

„judeosceptycyzm” byłego posła Artura Zawiszy, czy twierdzeń tego rodzaju, że „Odrzucamy każdą formę totalitaryzmu, w tym liberalną demokrację, jako reżimy polityczne skrajnie szkodliwe dla wspólnoty narodowej” (to ze strony internetowej ONR) – a także *de facto* szerzenia nienawiści wobec takich czy innych grup w taki sposób, by nie przyczepił się tego prokurator – warto tu zauważyć, że, jak stwierdził swego czasu amerykański profesor komunikacji społecznej Franklyn Haiman - powołując się na przykłady z USA, gdzie rasistów przed używaniem jawnie nienawistnego języka hamuje nie prawo, lecz zdrowy rozsądek „ukryte przekazy grupowej nienawiści, będące daleko od tego, czego mógłby zabraniać jakikolwiek wyobraźalny przepis przeciwko „nienawistnej mowie” są potencjalnie daleko bardziej szkodliwe dla swoich ofiar niż cokolwiek, co wrzeszczący i bredzący rasista, homofob lub mizoginik mógłby powiedzieć”).

Jeśli więc nawet środki właściwe dla „walczącej demokracji” w rodzaju zakazów „mowy nienawiści” czy propagowania ustrojów totalitarnych mają na celu ochronę demokracji – i zapobieganie takim zjawiskom, jak przemoc na tle nienawiści przeciwko ludziom różniącym się takimi cechami, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa, czy orientacja seksualna – to środki te, jeśli chodzi o hamowanie takich zjawisk są co najmniej nieskuteczne (o ile nie wręcz przeciwskuteczne), a dla demokracji i nieodłącznych od niej praw i wolności (nie jest w końcu możliwe istnienie czegoś, co w minimalnie choćby sensowny sposób można nazywać demokracją bez znaczącego przynajmniej zakresu wolności słowa) potencjalnie groźne. „Walcząca demokracja” – przy wszystkich leżących u podłoża tej koncepcji dobrych chęciach – jest złudnym i niebezpiecznym wręcz rozwiązaniem.

3. Jeśli organy niezależne od tego, który stanowi prawo (i oczywiście od organów wykonawczych) nie mogą badać konstytucyjności aktów prawnych (i działań władzy), to wówczas twierdzenie, że konstytucja jest najwyższym prawem kraju, z którym zgodne powinny być wszystkie inne jest niczym innym, jak po prostu pustosłowiem. Dlaczego jednak prawo do badania konstytucyjności prawa powinny mieć wszelkie sądy – z rejonowymi włącznie – a nie wyłącznie wyspecjalizowany Trybunał Konstytucyjny (który, owszem, mógłby ewentualnie być w tej dziedzinie ostatecznym arbitrem)? Otóż choćby dlatego, że badanie konstytucyjności ustaw przez sądy przy okazji rozpatrywanych przez nie spraw sprzyja wzrostowi refleksji na temat takich spraw, jak prawa i wolności obywatelskie. Zwiększa prawdopodobieństwo naświetlania takich problemów z różnych stron – tak dzieje się np. wówczas, gdy sądy różnych instancji wydają różne opinie w kwestii konstytucyjności tego samego przepisu. W oczywisty sposób zwiększają też szanse ludzi na ochronę ich gwarantowanych przez Konstytucję (albo np. prawo międzynarodowe) praw i wolności.
4. Skłaniam się do opinii, że najlepszym modelem ordynacji wyborczej w wyborach do Sejmu byłaby ordynacja większościowa, ale w okręgach kilku mandatowych (w których wybierano by – powiedzmy – od 4 do 6 posłów; wszystkie okręgi powinny obejmować możliwie zbliżoną liczbę ludności i wysyłać tyle samo posłów do Sejmu).

W ordynacji takiej wyborca dysponowałby tyloma głosami, ile jest mandatów do obsadzenia w okręgu – w czteromandatowym okręgu wyborczym mógłby więc, hipotetycznie, zagłosować np. na kandydata PiS, kandydata KO, kandydata Lewicy i kandydata bezpartyjnego. Mandaty w okręgu wyborczym zdobywaliby ci kandydaci, którzy dostali kolejne najwyższe liczby ważnie oddanych głosów.

Dlaczego taka akurat ordynacja wyborcza byłaby względnie optymalna? Odpowiedź na to pytanie zaczniemy od kwestii wad klasycznych modeli ordynacji proporcjonalnych i ordynacji większościowej typu jednomandatowych okręgów wyborczych (JOW-ów). Przy obowiązywaniu ordynacji proporcjonalnej wyborcy głosują na całe listy wyborcze – ewentualnie, jeśli ordynacja daje taką możliwość – wskazując preferowanego przez siebie kandydata na liście i dając mu przez to pierwszeństwo w ramach niej; zawsze jest to jednak głos na całą listę wyborczą. Idea leżącą u podstaw ordynacji proporcjonalnej jest to, by skład parlamentu w możliwie największym stopniu odpowiadał statystycznemu rozkładowi preferencji politycznych w społeczeństwie. Najbardziej w związku z tym idealnym pod względem proporcjonalności modelem ordynacji wyborczej byłaby taka ordynacja, w której okręgiem wyborczym byłby cały kraj i nie byłoby żadnego sztucznego progu wyborczego. Zakładając, że Sejm składa się z 460 posłów, zdobycie niecałych 0,22% głosów przez jakąś listę mogłoby wystarczyć do tego, że ktoś kandydujący w tej listy zostałby posłem.

Sejm wybrany według takiej ordynacji mógłby być naprawdę barwny i ciekawy. Jednak już z parlamentami wybranymi według ordynacji nie aż tak skrajnie proporcjonalnych są poważne kłopoty – przypomnijmy tu choćby Sejm wybrany w 1991 r. w którym zasiadali przedstawiciele 29 komitetów wyborczych, z których 11 miało tylko jednego posła (w Sejmie tym 391 posłów było wybieranych w okręgach wyborczych, w których obsadzano od 7 do 17 mandatów, pozostałe 69 mandatów obsadzano z list ogólnopolskich tych komitetów, które przekroczyły określone progi, tj. zdobyły mandaty w co najmniej 5 okręgach lub uzyskały co najmniej 5% głosów w skali kraju). Hipotetyczny Sejm, o którym była powyżej mowa mógłby być praktycznie niezdolny do działania; szczególnie do utworzenia w nim w miarę stabilnej większości popierającej rząd, tak, by ten ostatni mógł w ogóle zostać zatwierdzony i by nie groziło mu w sposób praktycznie nieustanny votum nieufności (choć przewidziane w obecnej konstytucji tzw. konstruktywne votum nieufności, zgodnie z którym sejmowa większość może obalić rząd jedynie pod warunkiem jednoczesnego wybrania innego premiera mogłaby tu być jakimś środkiem zaradczym przeciwko temu ostatniemu zagrożeniu – zgodzimy się chyba co do tego, że jakkolwiek żaden rząd nie powinien mieć gwarancji wiecznego trwania, to jednak nie jest dobrze, gdy rządy zmieniają się np. raz na kilka miesięcy). Ponadto, w Sejmie, do którego wręcz skrajnie łatwo można byłoby się dostać jakąś część (najprawdopodobniej drobną) posłów stanowiliby przysłowiowi ludzie nawiedzeni – może też np. jacyś neonaziści, komuniści, sataniści, itd. – po prostu dlatego, że ludzi o skrajnych poglądach ciągnie często do polityki i ciągnęłoby ich jeszcze bardziej, gdyby mieli realne szanse dostać się do parlamentu. Ludzie tacy powinni mieć

absolutne prawo publicznego głoszenia swoich obłądnych poglądów, ale nie jest rzeczą dobrą, jeśli dzięki swojej obecności w parlamencie mogą oni stanowić przysłowiowy jęczyczek u wagi, od którego mogą zależeć takie sprawy, jak przyjęcie lub nie przyjęcie (albo konkretny kształt) jakiejś ustawy, przegłosowanie czy nie przegłosowanie votum zaufania (albo votum nieufności) dla rządu, itd.

Wprowadzenie w 1993 r. zasady, że do Sejmu wchodzi tylko kandydaci tych komitetów wyborczych, które dostały co najmniej 5% głosów w skali całego kraju (z wyjątkiem komitetów wyborczych mniejszości narodowych) wyeliminowało efekt najczęściej zarzucany ordynacji proporcjonalnej bez progów (choć jednak mimo wszystko z naturalnym progiem wyborczym w okręgach), tj. to, że prowadzi ona do powstania wysoce rozdrobnionego parlamentu. Z Sejmu znikły ugrupowania typu Polska Partia Przyjaciół Piwa, czy Sojusz Kobiet Przeciw Trudnościom Życia. Lecz ordynacja wyborcza, która od 1993 r. generalnie rzecz biorąc obowiązuje do dziś też ma poważne wady. To prawda, że wyeliminowała ona pewne niedorzeczności ordynacji z 1991 r., takie, jak listy krajowe, dzięki którym do Sejmu wchodziło ci kandydaci dużych partii politycznych, którzy z racji swej niepopularności nie zdobywali mandatów w okręgach wyborczych, lecz którzy byli na tyle ważni dla kierownictw swoich ugrupowań, że byli umieszczani na wysokich miejscach takich list, czy też tzw. blokowanie list wyborczych, które prowadziło do tego, że ludzie głosząc na jakąś partię jednocześnie głosowali również na inną partię, często najprawdopodobniej nieświadomie (vide przykład zblokowanej z listą Konfederacji Polski Niepodległej listy Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Osób Niepełnosprawnych). Spowodowała jednak np. to, że do Sejmu praktycznie rzecz biorąc nie mogą dostać się hipotetyczni kandydaci ugrupowań, które mają duże poparcie w jakichś regionach, lecz na które głosuje mniej, niż 5% wyborców w całym kraju. Sprawiała też to, że skład Sejmu stał się w bardzo dużej mierze zależny od woli przywódców partii politycznych, którzy decydują o tym, kto znajdzie się na listach wyborczych, a kto nie. Oczywiście, w systemach np. JOW-ów wola partyjnych przywódców też może mieć znaczenie odnośnie tego, kto znajdzie będzie kandydatem danej partii w okręgu wyborczym i w konsekwencji tego, czy ten ktoś zdobędzie mandat poselski, czy też nie. Ale w takich systemach jeżeli ktoś nie został „pobłogosławiony” jako kandydat danej partii w okręgu wyborczym z powodzeniem może wystartować jako np. kandydat niezależny, i – przynajmniej formalnie rzecz biorąc – ma takie same, jak kandydat wystawiony przez jakąś ważną i popularną partię polityczną, szanse dostać się do parlamentu. W Polsce ktoś taki teoretycznie rzecz biorąc mógłby się skrzyknąć z pewną liczbą osób i utworzyć np. listę wyborczą w jakimś okręgu (do utworzenia komitetu wyborczego wyborców potrzeba ich 15; z kolei na okręgowej liście wyborczej musi być nie mniej, niż tyle osób, ile mandatów jest do obsadzenia w okręgu i nie więcej, niż dwukrotność tej liczby) i zarejestrować okręgową listę kandydatów (czy to jako listę wyborców, czy kandydatów jakiejś nowo powstałej partii, o ile byłaby już ona zarejestrowana), ale musiałoby być prawdziwym cudem dostanie się z takiej listy do Sejmu. Obowiązująca ordynacja wyborcza jest

więc korzystna dla dużych, mających znaczne poparcie partii politycznych i w szczególności dla ich przewodców, ale w mniejszym chyba stopniu dla społeczeństwa.

A teraz JOW-y. Jednomandatowe okręgi wyborcze mają oczywiste zalety. Przede wszystkim, posłowie w większym stopniu, niż w systemie proporcjonalnym (szczególnie już takim, jak istniejący obecnie w Polsce) są związani z ludźmi, którzy na nich głosowali – w obecnym systemie wyborczym posłowie są bardziej reprezentantami partii politycznych, które wstawiły ich na listy kandydatów, niż bezpośrednimi reprezentantami wyborców. Niemniej jednak, mają też taką wadę, że – przynajmniej w systemie brytyjsko – amerykańskim, gdzie do zdobycia mandatu poselskiego wystarczy zdobycie po prostu największej liczby głosów w okręgu – pozostawiają polityczną mniejszość – przynajmniej na poziomie konkretnego okręgu wyborczego – bez parlamentarnej reprezentacji. Co więc dawałyby sugerowane przeze mnie wybory większościowe w okręgach kilkumandatowych? Otóż, przede wszystkim wyborcy mieliby większą swobodę głosu w tym sensie, że nie byłoby zmuszeni do głosowania na tylko jednego kandydata – mogliby oczywiście głosować na wszystkich kandydatów danej partii w okręgu wyborczym, ale mogliby też głosować na kandydatów różnych partii. Oczywiście walka wyborcza na poziomie okręgów prawdopodobnie w mniejszym stopniu byłaby walką o to, czy „być albo nie być” (dla partii w okręgu wyborczym), niż w systemie JOW-ów. Być może, że sprzyjałoby to mniejszej cokolwiek konfrontacyjności życia politycznego, niż w takim systemie, w którym wyborca ma dokładnie jeden głos.

Ile jednak wyborca powinien mieć tych głosów? Oczywiście, tyle, ile jest mandatów do obsadzenia w okręgu, oddanie głosów na większą liczbę kandydatów musiałoby być traktowane jako głos nieważny. Jaka jednak powinna być liczba posłów wybieranych w okręgach? Jeśli chodzi o to, to moja intuicja jest tak, że powinna być ona na tyle duża, by indywidualni wyborcy mogli – jeśli tego chcą – wybrać kandydatów naprawdę różnych opcji politycznych, i jednocześnie nie na tyle duża, by mogła istnieć poważna obawa do tego, że znaczna część z nich się w tym wszystkim po prostu pogubi. Myślę więc, że najmniejszą sensownie możliwą liczbą mandatów obsadzanych w okręgu wyborczym byłyby trzy, a największą siedem – z sugestią, że powinno być to raczej od czterech do sześciu; oczywiście w każdym okręgu wyborczym powinno wybierać się tyle samo posłów.

Należy dodać, że ponieważ w proponowanym przeze mnie modelu ordynacji wyborczej okręgi wyborcze musiałyby być kilkukrotnie większe, niż w systemie JOW-ów, posłowie mogliby nie być tak silnie związani z konkretnymi, lokalnymi społecznościami, jak posłowie wybrani w okręgach jednomandatowych.

5. Myślę, że dwuizbowość parlamentu może sprzyjać bardziej uważnemu stanowieniu prawa, niż w przypadku, gdy parlament jest jednoizbowy. Podobną rolę może odgrywać veto prezydenckie – może ono utrudniać np. wprowadzanie takich praw, które mają poparcie niewielkiej, czy minimalnej wręcz większości parlamentarnej, lecz wywołują wyraźny sprzeciw ze strony znaczącej części społeczeństwa, czy nawet jego większości.

6. Oczywiście, nie jest czymś całkowicie niemożliwym, by wybory w USA się nie odbyły. Można sobie przecież wyobrazić fizyczne uniemożliwienie ich przeprowadzenia w wyniku jakichś siłowych działań – tego np. rodzaju, co wojskowy zamach stanu. Ponadto, jeśli nawet terminy wyborów w USA wyznaczone są „z automatu” to przeprowadzenie wyborów wymaga przecież każdorazowo aktywnych działań – kandydaci muszą zostać zarejestrowani, muszą zostać przygotowane maszyny do głosowania (czy też karty wyborcze, o ile jeszcze się ich gdzieś używa) itd. Można więc – w sposób hipotetyczny – wyobrazić sobie zaniechania prowadzące do nie odbycia się wyborów. Jednak w USA zaniechania mające skutek w postaci nie przeprowadzenia wyborów musiałyby mieć charakter oczywistego łamania prawa. W Polsce zaniechania mogące mieć skutek w postaci nie przeprowadzenia wyborów (czy też nie zwołania parlamentu na pierwsze posiedzenie) mogłyby mieć co charakter najmniej pozorowanego przestrzegania prawa, w tym zwłaszcza respektowania kompetencji organów państwowych, które zgodnie z konstytucją uprawnione są do zarządzania wyborów (prezydenta w przypadku wyborów parlamentarnych i marszałka sejmu w przypadku wyborów prezydenckich).
7. Pewne szczególne zastosowanie tej zasady mogłoby mieć miejsce w przypadku przerwania normalnej, czteroletniej kadencji Sejmu i Senatu, czy też zwykłej, pięcioletniej kadencji Prezydenta. Jak wiadomo, kadencja izb polskiego parlamentu może zostać skrócona w określonych w Konstytucji przypadkach, tj. nie powołania w trzech kolejnych krokach rządu – z art. 155 ust. 1 Konstytucji wynika, że skrócenie kadencji Sejmu i Senatu przez Prezydenta jest w takim przypadku obligatoryjne, fakultatywne jest natomiast rozwiązanie parlamentu w przypadku, jeżeli ustawa budżetowa w ciągu 4 miesięcy od złożenia przez rząd jej projektu w sejmie nie zostanie przedłożona prezydentowi do podpisu – prezydent ma wówczas 14 dni na ewentualne zarządzenie nowych wyborów – i oczywiście w przypadku, gdy Sejm sam skróci swoją kadencję uchwałą podjętą większością co najmniej 2/3 głosów ustawowej liczby posłów (co oznacza również skrócenie kadencji Senatu). Zauważmy, że zgodnie z art. 98 ust. 5 Konstytucji „Prezydent Rzeczypospolitej, zarządzając skrócenie kadencji Sejmu, zarządza jednocześnie wybory do Sejmu i Senatu i wyznacza ich datę na dzień przypadający nie później niż w ciągu 45 dni od dnia zarządzenia skrócenia kadencji Sejmu” (zgodnie również z tym przepisem „Prezydent Rzeczypospolitej zwołuje pierwsze posiedzenie nowo wybranego Sejmu nie później niż na 15 dzień po dniu przeprowadzenia wyborów”). Można więc powiedzieć, że skrócenie kadencji Sejmu i Senatu i zarządzenie nowych wyborów jest swego rodzaju „transakcją związaną” – jeśli prezydent – hipotetycznie rzecz biorąc – wydałby decyzję o skróceniu kadencji izb parlamentu, nie zarządzając jednocześnie nowych wyborów i nie wyznaczając ich daty – to taka decyzja z prawnego punktu widzenia byłaby „non est” (choć mógłby tu się ktoś ewentualnie czepiać przypadku, w którym prezydent zgodnie z Konstytucją skrócić kadencję parlamentu musi, co ma miejsce w sytuacji nie powołania w trzech kolejnych krokach Rady Ministrów). Jednak w takim przypadku odpowiedni przepis, czy to samej konstytucji, czy ustawy, powinien

stanowić o tym, że w przypadku przedwczesnego skrócenia kadencji parlamentu kolejne wybory odbywają się np. w dzień wolny od pracy przypadający w (dość ściśle określonym) czasie przed końcem kadencji nowego Sejmu i Senatu, bez konieczności specjalnego zarządzania ich przez prezydenta. Analogicznie powinno wyglądać rozwiązanie dotyczące daty wyborów prezydenckich w przypadku skrócenia z takich czy innych powodów kadencji prezydenta – data ta powinna wynikać bezpośrednio z przepisów prawa.

- Potencjalnie największym – z prawnego punktu widzenia – zagrożeniem dla przeprowadzenia wyborów są określone w Konstytucji stany nadzwyczajne. Jak wiadomo, art. 228 ust. 7 Konstytucji mówi o tym, że „W czasie stanu nadzwyczajnego oraz w ciągu 90 dni po jego zakończeniu nie może być skrócona kadencja Sejmu, przeprowadzane referendum ogólnokrajowe, nie mogą być przeprowadzane wybory do Sejmu, Senatu, organów samorządu terytorialnego oraz wybory Prezydenta Rzeczypospolitej, a kadencje tych organów ulegają odpowiedniemu przedłużeniu. Wybory do organów samorządu terytorialnego są możliwe tylko tam, gdzie nie został wprowadzony stan nadzwyczajny”. Szczególną uwagę należy w tej kwestii zwrócić na stan wojenny – z tego względu, że w odróżnieniu od stanu wyjątkowego – który można wprowadzić na czas nie dłuższy, niż 90 dni, z możliwością jednorazowego przedłużenia go za zgodą Sejmu na nie więcej, niż 60 dni i stanu klęski żywiołowej, który rząd może wprowadzić na nie dłużej, niż 30 dni, z możliwością przedłużenia tego stanu za zgodą Sejmu – ten akurat stan można wprowadzić na czas potencjalnie nieograniczony.

Zwróćmy tu uwagę na konstytucyjne i ustawowe przesłanki możliwości wprowadzenia stanu wojennego. Zgodnie z art. 229 Konstytucji „W razie zewnętrznego zagrożenia państwa, zbrojnej napaści na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej lub gdy z umowy międzynarodowej wynika zobowiązanie do wspólnej obrony przeciwko agresji, Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów może wprowadzić stan wojenny na części albo na całym terytorium państwa”. Ustawa z dnia 29 sierpnia 2002 r. o stanie wojennym i kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych i zasadach jego podległości konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej w swym artykule 2.1. powtarza ten zapis, z tym, że po słowach „W razie zewnętrznego zagrożenia państwa” dodaje słowa „w tym spowodowanego działaniami o charakterze terrorystycznym lub działaniami w cyberprzestrzeni”. Pojęcie zewnętrznego zagrożenia państwa zostało określone w art. 2. 1a. wspomnianej ustawy – zgodnie z tym przepisem „Przez zewnętrzne zagrożenie państwa, o którym mowa w ust. 1, rozumie się celowe działania, godzące w niepodległość, niepodzielność terytorium, ważny interes gospodarczy Rzeczypospolitej Polskiej lub zmierzające do uniemożliwienia albo poważnego zakłócenia normalnego funkcjonowania państwa, podejmowane przez zewnętrzne w stosunku do niej podmioty”. Z kolei według art. 2. 1b. „Przez cyberprzestrzeń, o której mowa w ust. 1, rozumie się przestrzeń przetwarzania i wymiany informacji tworzoną przez systemy teleinformatyczne, określone w art. 3 pkt 3 ustawy z dnia 17 lutego 2005 r. o informatyzacji działalności

podmiotów realizujących zadania publiczne (Dz. U. z 2024 r. poz. 1557 i 1717), wraz z powiązaniem między nimi oraz relacjami z użytkownikami”.

Spośród przesłanek wprowadzenia stanu wojennego całkowicie klarowna jest jedna: zbrojna napaść na terytorium Polski. Sytuacja ta nie budzi też wątpliwości z punktu widzenia niedopuszczalności przeprowadzenia, w razie gdyby sytuacja taka zaistniała, wyborów. Czas, w którym na terenie kraju toczy się wojna niewątpliwie nie jest odpowiednim czasem na kampanię wyborczą i głosowanie. Jednak inne przesłanki wprowadzenia stanu wojennego są, kolokwialnie wyrażając się, cokolwiek bardziej śliskie. I tak np. stan wojenny może zostać wprowadzony z powodu wrogich wobec Polski działań w cyberprzestrzeni. Działania takie należy, rzecz jasna, zwalczać (i starać się zapobiec skutkom takich działań). Czy jednak tylko takie działania są adekwatnym powodem do zastosowania takich przewidzianych w ustawie o stanie wojennym środków, jak zakaz strajków i innych akcji protestacyjnych, wprowadzenie prewencyjnej cenzury środków masowego przekazu, prewencyjnej kontroli korespondencji telekomunikacyjnej i rozmów telefonicznych lub sygnałów przesyłanych w sieciach telekomunikacyjnych (a także zwykłych listów czy przesyłek), emitowanie sygnałów uniemożliwiających słuchanie i oglądanie wrażliwych stacji radiowych i telewizyjnych, czy też zakaz organizowania wszelkich zgromadzeń, bądź zakaz działania zarejestrowanych stowarzyszeń, partii politycznych, związków zawodowych, organizacji społeczno-zawodowych rolników, organizacji pracodawców, ruchów obywatelskich oraz innych dobrowolnych zrzeszeń i fundacji których działalność może utrudnić (zdaniem władzy) realizację zadań obronnych? Zastosowanie takich środków – w normalnej sytuacji właściwych bardziej dla państwa totalitarnego, czy przynajmniej autorytarnego, niż dla demokracji – z powodu nawet sprawiających poważne problemy działań hakerów wydaje się lekką przesadą. Jednak ustawa o stanie wojennym umożliwia zastosowanie takich środków – także z powodu zewnętrznego zagrożenia państwa spowodowanego jedynie działaniami w cyberprzestrzeni – przewiduje. I o ile sytuacja zbrojnego ataku na państwo (a przynajmniej zmasowanego ataku) jest sytuacją odnośnie której da się twierdzić, że w kwestii wprowadzenia czy nie wprowadzenia stanu wojennego tak naprawdę nie ma wyboru (choć z czysto prawnego punktu widzenia nie ma sytuacji, w której wprowadzenie stanu wojennego – czy też stanu wyjątkowego – jest obowiązkowe), to ocena tego, czy stan wojenny powinien zostać wprowadzony w przypadku skierowanych przeciwko Polsce działań hakerskich byłaby czymś w wielkiej mierze zależnym od subiektywnego widzimisię rządzących. Cyberatak to nie jedyny daleki od oczywistości, a jednak przewidziany w polskim prawie powód do możliwego wprowadzenia stanu wojennego. Innym takim powodem są działania terrorystyczne. Terroryzm, oczywiście, należy do najgroźniejszych zjawisk zdarzających się w dzisiejszym świecie. Z punktu widzenia przesłanek do oceny potrzeby wprowadzenia stanu wojennego (czy też np. stanu wyjątkowego) jest jednak spora różnica między wojną, a atakiem terrorystycznym. Podczas wojny zagrożenia mają charakter powszechny i permanentny. Rakiety, drony, bomby, czy pociski artyleryjskie mogą uderzyć wszędzie i może się to dziać przez długi czas (co pokazuje choćby wojna na

Ukrainie; świadomie używam tu formy na „na Ukrainie” – gdyż jeśli mówi się „w Ukrainie” to logicznie rzecz biorąc powinno się mówić także „w Litwie” „w Łotwie” „w Słowacji”, czy „w Węgrzech”, a jednak się tego raczej nie robi). Wojska (np. zmierzające na linię frontu) przemieszczają się po kraju, co z pewnością usprawiedliwia chociażby ograniczenia zwykłego ruchu drogowego. Jednak zagrożenia wynikające z ataków terrorystycznych raczej nie mają tak powszechnego charakteru, jak zagrożenia wynikające z wojny. Terrorysty atakują – np. podkładając bombę – w jakimś konkretnym miejscu, zazwyczaj takim, w którym przebywa dużo ludzi – ale na ogół nie robią takich rzeczy permanentnie, np. każdego dnia. Czy atak terrorystyczny – i strach przez kolejnymi (bardzo często przesadzony – zauważmy, że np. po zamachu na World Trade Center i Pentagon 11.09.2001 r. nie nastąpiły podobne ataki, mimo, że ataków takich bardzo poważnie się obawiano) – jest powodem do tego, by np. wprowadzić np. cenzurę mediów i zakaz działania legalnie istniejących organizacji? Zdroworozsądkowa odpowiedź na to pytanie brzmi (moim przynajmniej zdaniem) „nie” ale fakt, że działania o charakterze terrorystycznym (pod warunkiem, że jest to terroryzm „zewnątrzny” – uprawiany przez sprawców, którzy przybyli do Polski na „gościnne występy”; terroryzm wyłącznie rodzimego chowu może być powodem do wprowadzenia stanu wyjątkowego) zostały wymienione w ustawie o stanie wojennym jako jeden z możliwych powodów do wprowadzenia tego akurat stanu nadzwyczajnego sugeruje, że tego rodzaju działania mogłyby się spotkać z taką – mocno przesadzoną i nieadekwatną – reakcją. Dalej, powodem wprowadzenia stanu wojennego może być taka sytuacja, w której z umowy międzynarodowej wynika zobowiązanie do wspólnej obrony przeciwko agresji. Oczywiście – *pacta sunt servanda*. Czy jednak – dajmy na to – atak Rosji na – np. – Estonię byłby właściwym powodem do wprowadzenia w Polsce takich, jak wspomniane powyżej środków? Znów, zdrowy rozsądek mówi, że nie – ale nic w ustawie o stanie wojennym nie wyklucza tego, że środki takie mogłyby w takiej sytuacji zostać zastosowane.

Analogiczne do przewidzianych w ustawie o stanie wojennym ograniczenia praw i wolności obywatelskich przewiduje ustawa o stanie wyjątkowym – z tym, że w jej przypadku dochodzą jeszcze możliwość użycia broni palnej przez oddziały zwarte policji lub przez wojsko w przypadku np. niebezpiecznych zachowań tłumu, a także internowanie („odosobnienie”) osoby mającej ukończone 18 lat, w stosunku do której zachodzi uzasadnione podejrzenie, że pozostając na wolności będzie prowadziła działalność zagrażającą konstytucyjnemu ustrojowi państwa, bezpieczeństwu obywateli lub porządkowi publicznemu albo gdy odosobnienie jest niezbędne dla zapobieżenia popełnienia czynu karalnego lub uniemożliwienia ucieczki po jego popełnieniu, jak również osoby w wieku powyżej lat 17, jeżeli przeprowadzona uprzednio z nią rozmowa ostrzegawcza okazała się nieskuteczna (decyduje o tym wojewoda na wniosek właściwych organów prokuratury, Policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Straży Granicznej, Żandarmerii Wojskowej lub Służby Kontrwywiadu Wojskowego). Lecz jest jedna ważna różnica między stanem wyjątkowym, a stanem wojennym – pierwszy z nich, jak już była tu mowa, można wprowadzić na pewien nieprzekraczalny czas (aczkolwiek, oczywiście, można sobie

wyobrazić sytuację tego rodzaju, że stan wyjątkowy trwa tyle, ile maksymalnie może trwać, tj. 150 dni – i następnego dnia zostaje wprowadzony ponownie; żaden przepis Konstytucji nie wyklucza też jednoczesnego wprowadzenia obu stanów; w historii Polski tak zdarzyło się 1 września 1939 r.). Stan wojenny nie ma natomiast żadnego prawnie ustalonego terminu „upływu daty ważności”. Oczywiście, zgodnie z art. 8 ust. 1 ustawy o stanie wojennym „Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, na wniosek Rady Ministrów, w drodze rozporządzenia, znosi stan wojenny, jeżeli ustaną przyczyny, dla których stan wojenny został wprowadzony, oraz zostanie przywrócone normalne funkcjonowanie państwa”. Zachodzi tu jednak pytanie, czy prezydent w przypadku stosownego wniosku ze strony rządu stan wojenny znieść musi – bo jasne jest, że bez takiego wniosku prezydent stanu wojennego wprowadzić nie może. Otóż kluczowe tu jest niewątpliwie uznanie tego, czy przyczyny dla których stan wojenny już nie istnieją, oraz czy normalne funkcjonowanie państwa zostało przywrócone. Opinia prezydenta w tych kwestiach może się różnić od opinii rządu – i jeśli nawet, teoretycznie rzecz biorąc, prezydent ma obowiązek znieść stan wojenny na wniosek rządu, to nie bardzo jest jak zmusić go do podjęcia takiego kroku i podpisania stosownego rozporządzenia.

O ile więc – z formalnoprawnego punktu widzenia – nie ma możliwości wprowadzenia czegoś takiego, jak „wieczny stan wyjątkowy” (pomińmy tu wspomnianą już możliwość wprowadzenia go ponownie po upływie terminu jego ważności – i robienia tego choćby bez końca), to z takiego punktu widzenia nie jest, niestety, czymś wykluczonym coś takiego, jak „wieczny stan wojenny”. To prawda, że wprowadzenie stanu wojennego, podobnie jak stanu wyjątkowego może zostać powstrzymane przez Sejm. Zgodnie z art. 231 Konstytucji „Rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wojennego lub wyjątkowego Prezydent Rzeczypospolitej przedstawia Sejmowi w ciągu 48 godzin od podpisania rozporządzenia. Sejm niezwłocznie rozpatruje rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej. Sejm może je uchylić bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów”. Jest oczywiście czymś trudnym do wyobrażenia, by – czysto hipotetycznie – rozporządzenie prezydenta Nawrockiego o wprowadzeniu stanu wojennego (czy wyjątkowego) obecnie mogło zostać podtrzymane przez sejmową większość; trudno zresztą w ogóle wyobrazić sobie wprowadzenie takiego rozporządzenia, bo do tego potrzebny jest jednak wniosek rządu. Lecz w przyszłości – z tym, czy z innym prezydentem – sytuacja może się zmienić.

Stan wojenny (podobnie, jak stan wyjątkowy) to – o czym była tu już mowa – okres, w którym mogą być wprowadzane nadzwyczajne, niedopuszczalne w normalnej sytuacji, ograniczenia praw i wolności obywatelskich. Rzecz jasna, władzom nawet w takim okresie nie wszystko wolno – zgodnie z art. 233 ust. 1 Konstytucji „Ustawa określająca zakres ograniczeń wolności i praw człowieka i obywatela w czasie stanu wojennego i wyjątkowego nie może ograniczać wolności i praw określonych w art. 30 (godność człowieka), art. 34 i art. 36 (obywatelstwo), art. 38 (ochrona życia), art. 39, art. 40 i art. 41 ust. 4 (humanitarne traktowanie), art. 42 (ponoszenie odpowiedzialności karnej), art. 45 (dostęp do sądu), art. 47 (dobra osobiste), art. 53

(sumienie i religia), art. 63 (petycje) oraz art. 48 i art. 72 (rodzina i dziecko). Ust. 2 tego samego artykułu dodaje do tego, że „Niedopuszczalne jest ograniczenie wolności i praw człowieka i obywatela wyłącznie z powodu rasy, płci, języka, wyznania lub jego braku, pochodzenia społecznego, urodzenia oraz majątku”. Jednak, zgodnie z art. 233 ust. 3 „Ustawa określająca zakres ograniczeń wolności i praw człowieka i obywatela w stanie klęski żywiołowej może ograniczać wolności i prawa określone w art. 22 (wolność działalności gospodarczej), art. 41 ust. 1, 3 i 5 (wolność osobista), art. 50 (nienaruszalność mieszkania), art. 52 ust. 1 (wolność poruszania się i pobytu na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej), art. 59 ust. 3 (prawo do strajku), art. 64 (prawo własności), art. 65 ust. 1 (wolność pracy), art. 66 ust. 1 (prawo do bezpiecznych i higienicznych warunków pracy) oraz art. 66 ust. 2 (prawo do wypoczynku)”. Warto też przy okazji zwrócić uwagę na to, że ograniczenie tych akurat wolności i praw w okresie stanu wojennego wcale nie musiałyby nastąpić na podstawie ustawy. Jak stanowi bowiem art. 234 ust. 1 Konstytucji „Jeżeli w czasie stanu wojennego Sejm nie może zebrać się na posiedzenie, Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów wydaje rozporządzenia z mocą ustawy w zakresie i w granicach określonych w art. 228 ust. 3-5. Rozporządzenia te podlegają zatwierdzeniu przez Sejm na najbliższym posiedzeniu”. Wprowadzenie przez Konstytucję możliwości wydawania w nadzwyczajnej sytuacji – takiej, jak faktyczna wojna – możliwości wydawania dekretów z mocą ustawy, jeśli parlament nie jest się stanie zebrać na posiedzenie wydaje się oczywiście rzeczą uzasadnioną. Prezydenckie dekryty wydawane w okresie stanu wojennego muszą zresztą mieścić się w zakresie i w granicach określonych w art. 228 ust. 3-5, które stanowią, że „(1) Zasady działania organów władzy publicznej oraz zakres, w jakim mogą zostać ograniczone wolności i prawa człowieka i obywatela w czasie poszczególnych stanów nadzwyczajnych, określa ustawa. (2) Ustawa może określić podstawy, zakres i tryb wyrównywania strat majątkowych wynikających z ograniczenia w czasie stanu nadzwyczajnego wolności i praw człowieka i obywatela. (3) Działania podjęte w wyniku wprowadzenia stanu nadzwyczajnego muszą odpowiadać stopniowi zagrożenia i powinny zmierzać do jak najszybszego przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa”. Ponadto, zgodnie z art. 228 ust. 3 „W czasie stanu nadzwyczajnego nie mogą być zmienione: Konstytucja, ordynacje wyborcze do Sejmu, Senatu i organów samorządu terytorialnego, ustawa o wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej oraz ustawy o stanach nadzwyczajnych”. Prezydent w okresie stanu wojennego nie mógłby więc wydanym na wniosek rządu rozporządzeniem wprowadzić poprawki do ustawy o stanie wojennym. Ale mógłby, w takim trybie, wprowadzić jakieś np. nowe przepisy do kodeksu karnego. Rzecz jasna, tylko wtedy, gdy Sejm nie może się zebrać na posiedzenie i gdy takie przepisy odpowiadają stopniowi zagrożenia i zmierzają do jak najszybszego przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa. Poniękad, nawet w takich sytuacjach, jak stan wojenny, czy stan wyjątkowy nie przestaje obowiązywać art. 31 ust. 3 Konstytucji, który mówi, że „Ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej,

albo wolności i praw innych osób” – dodając do tego, że „Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw” – przepis ten w przypadku takiej sytuacji, jak formalnie wprowadzony stan nadzwyczajny musi być co najwyżej interpretowany z wzięciem pod uwagę faktycznie istniejących okoliczności; przy okazji można by się było zastanawiać nad tym, czy nie mógłby on zostać użyty jako prawne narzędzie do unieważnienia wprowadzenia stanu nadzwyczajnego (albo unieważnienia niektórych wprowadzonych rozporządzeniem wprowadzającym taki stan ograniczeń praw i wolności), jeśli Trybunał Konstytucyjny uznałby, że nie jest to „konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób”. Jednak kwestie tego rodzaju, jak to, czy Sejm może się zebrać na posiedzenie, a także to, czy jakieś środki podjęte np. w stanie wojennym (w postaci np. dekretów prezydenta) mogą być w dużej mierze kwestiami ocennymi. Jeśli chodzi o pierwszą rzecz, to aby posiedzenie Sejmu mogło się odbyć - trzeba je zwołać. Posiedzenia Sejmu zwołuje, jak wiadomo, jego marszałek. Czy formalne obowiązywanie stanu nadzwyczajnego nie może być dla marszałka Sejmu doskonałym pretekstem do tego, by Sejm nie zwoływać, mimo, że faktycznie mógłby się on bezpiecznie zebrać? Ocena tego, czy jakieś ograniczenia praw i wolności obywatelskich są „konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób” może być w dużej mierze oparta na subiektywnym „widzimisie” – często wykrzywionym w kierunku postrzegania konieczności represjonowania zachowań w rzeczywistości niegroźnych nawet w zupełnie normalnych sytuacjach (jako przykład takiego wykrzywionego postrzegania niegroźnych tak naprawdę zachowań jako czegoś, co trzeba karać z tego powodu, że jest to konieczne dla ochrony bezpieczeństwa państwa, etc. weźmy wydany w 2011 r. wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie przestępstwa publicznego znieważenia prezydenta RP, w którym zostało stwierdzone, że konieczność istnienia w kodeksie karnym takiego przepisu, jak art. 135 § 2 wynika z tego, że „odpowiednio duże nagromadzenie zachowań wypełniających znamiona czynu określonego w art. 135 § 2 k.k. może w skrajnych przypadkach stanowić również zagrożenie bezpieczeństwa państwa, rozumiane jako osłabienie pozycji Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej, w sytuacji ewentualnych wrogich działań lub zamierzeń innych państw” – na mój rozum, jeśli już coś mogłoby prowadzić do powstania tak rozumianego zagrożenia bezpieczeństwa państwa to nie żadne znieważanie Prezydenta – nawet nader częste, co przecież zarówno w odniesieniu do A. Dudy i jak i K. Nawrockiego jest faktem, bez pogarszania bezpieczeństwa państwa wskutek tych zniewag, - ale co najwyżej jakieś wyjątkowo poważne *zniesławienie* prezydenta – w rodzaju np. dostarczania do kwatery głównej NATO doskonale podrobionych dokumentów, z których wynikałoby, że prezydent jest ruskim szpiegiem, dostarczającym GRU najściślejszych tajemnic wojskowych - co zresztą bez trudu można byłoby podciągnąć pod art. 270 § 1 k.k. zgodnie z którym „Kto, w celu użycia za autentyczny, podrabia lub przerabia dokument lub takiego dokumentu jako autentycznego używa, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”).). Jeśli tak się dzieje w sytuacji, w

której państwu jako takiemu nic bezpośrednio nie zagraża, to jak taka ocena mogłaby wyglądać w przypadku, gdy został ogłoszony stan nadzwyczajny? Ponadto, jak była już tu mowa, nie wszystkie przesłanki wprowadzenia stanu wojennego są całkowicie klarowne. Zbrojny atak wrogiego mocarstwa jest – owszem – taką nie budzącą specjalnej wątpliwości przesłanką ogłoszenia takiego stanu. Lecz zapisane również w art. 239 Konstytucji „zewnętrzne zagrożenie państwa” taką jasną i nie uznaniową – na zdrowy rozum – przesłanką wprowadzenia stanu wojennego już nie jest. Przepraszam bardzo, ale praktycznie bez przerwy mówi się obecnie o zagrożeniu Polski przez Rosję. Może takie zagrożenie być powodem do tego, by wprowadzić stan wojenny? Mógłby ktoś próbować twierdzić, że art. 2 ust. 1a ustawy o stanie wojennym cokolwiek precyzuje i ogranicza pojęcie „zewnętrznego zagrożenia państwa” – według tego przepisu „Przez zewnętrzne zagrożenie państwa, o którym mowa w ust. 1, rozumie się celowe działania, godzące w niepodległość, niepodzielność terytorium, ważny interes gospodarczy Rzeczypospolitej Polskiej lub zmierzające do uniemożliwienia albo poważnego zakłócenia normalnego funkcjonowania państwa, podejmowane przez zewnętrzne w stosunku do niej podmioty”. Wynika więc z tego, że samo jedynie odczuwanie przez rządzących zagrożenia ze strony innego państwa nie może być powodem wprowadzenia stanu wojennego – aby można było to legalnie zrobić z powodu stwarzania przez to państwo zewnętrznego zagrożenia dla Polski, państwo to musi podjąć wobec niej działania wymienione we wspomnianym przepisie. Lecz działania takie mogą być rozumiane naprawdę bardzo szeroko. W każdym razie, jak podaje AI „Zgodnie z przytoczonym przepisem oraz doktryną bezpieczeństwa narodowego, za „zewnętrzne zagrożenie państwa” można uznać szereg działań, które nie muszą wiązać się z bezpośrednią agresją militarną. Oto kluczowe przykłady:

Działania hybrydowe i dezinformacja: Szeroko zakrojone kampanie wpływu, które mają na celu destabilizację nastrojów społecznych, podważenie zaufania do organów państwowych lub sianie paniki (np. przed wyborami).

Cyberataki: Ataki na infrastrukturę krytyczną, taką jak systemy bankowe, sieci energetyczne, wodociągi czy systemy rządowe, które uniemożliwiają normalne funkcjonowanie kraju.

Szantaż energetyczny i gospodarczy: Celowe odcięcie dostaw kluczowych surowców (gazu, ropy) lub blokowanie szlaków handlowych w celu wymuszenia na Polsce konkretnych decyzji politycznych.

Presja migracyjna: Wykorzystywanie grup ludzi do sztucznego wywoływania kryzysów na granicy w celu destabilizacji regionu i angażowania nadmiernych sił porządkowych (tzw. wojna demograficzna).

Działania dywersyjne: Akty sabotażu na terenie kraju (np. podpalenia, niszczenie linii kolejowych) przeprowadzane przez obce służby lub opłacone przez nie podmioty.

Gromadzenie wojsk przy granicy: Demonstracja siły i szantaż militarny, który paraliżuje inwestycje i wywołuje ucieczkę kapitału z kraju.

Co więcej, jak podaje AI „Aktualne wydarzenia na granicy oraz incydenty w cyberprzestrzeni (według stanu na kwiecień 2026 r.) stanowią bezpośredni kontekst dla stosowania przepisów o „zewnętrzny zagrożeniu państwa”. Choć stan wojenny nie został wprowadzony, służby i rząd podejmują działania kwalifikujące te zjawiska jako celowe uderzenia w bezpieczeństwo Rzeczypospolitej.

Sytuacja na granicy (Kwiecień 2026) Działania na granicy z Białorusią są interpretowane jako element wojny hybrydowej, co wpisuje się w definicję „poważnego zakłócenia normalnego funkcjonowania państwa”.

Presja migracyjna i agresja: Straż Graniczna wciąż odnotowuje próby nielegalnego przekroczenia granicy (np. ponad 30 prób w lutym 2026 r.). Agresywne zachowania grup migrantów, wspieranych przez obce służby, bezpośrednio angażują siły zbrojne i policję.

Aktywność dronów i naruszanie przestrzeni: Na początku 2026 r. wojsko informowało o wzmożonej aktywności obcych dronów nad granicą. W odpowiedzi w marcu 2026 r. zaprezentowano nowe systemy antydronowe, mające chronić polskie niebo przed prowokacjami.

Modernizacja ochrony: Rząd realizuje rekordowy program modernizacji służb mundurowych (blisko 3 mld zł), co jest bezpośrednią odpowiedzią na zagrożenie niepodzielności terytorium.

Cyberbezpieczeństwo i infrastruktura krytyczna

W sferze cyfrowej zagrożenia są uznawane za realne działania „godzące w ważny interes gospodarczy”.

Ataki na energetykę: Na przełomie 2025 i 2026 roku odnotowano spektakularny atak grup powiązanych z rosyjskim wywiadem (GRU) na infrastrukturę energetyczną (farmy wiatrowe i elektrociepłownie). Użycie tzw. „wiperów” (oprogramowania niszczącego dane) miało na celu wywołanie blackoutów.

Skala incydentów: Według raportu CERT Polska za rok 2025 (zaprezentowanego na konferencji SECURE 2026 w kwietniu), liczba incydentów wzrosła o 152% rok do roku. Ekspertsi uznają 2026 rok za krytyczny dla bezpieczeństwa IT.

Nowa Strategia Cyberbezpieczeństwa: 10 marca 2026 r. Rada Ministrów przyjęła nową strategię, która uznaje odporność cyfrową za polską rację stanu.

Nie można by więc było uznać takich choćby rzeczy, które obecnie się dzieją za pretekst do wprowadzenia stanu wojennego – a wraz z nim rządów naprawę autorytarnych i oczywiście zlikwidowania w praktyce demokracji i wyborów? Nie twierdę, że ktoś aktualnie chce wykorzystać konstytucyjne i ustawowe przepisy dotyczące stanu wojennego do podjęcia takiego akurat kroku. Niemniej jednak warto zauważyć, że przepisy te mogą stać się swego rodzaju wehikułem do wprowadzenia rządów autorytarnych i nie respektujących praw i wolności obywatelskich w stopniu ogólnie przyjętym w demokratycznych krajach bez formalnego złamania prawa -

jakim było chociażby wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. (Rada Państwa wydała wówczas dekret o stanie wojennym, którego formalnie rzecz biorąc nie miała prawa wydać, gdyż zgodnie z Konstytucją PRL z 1952 r. Rada Państwa mogła wydawać dekrety z mocą ustawy wyłącznie między sesjami Sejmu – a w czasie, kiedy został wydany ten dekret trwała sesja Sejmu).

- W sposób podobny do tego, jak wskazany w tym tekście można byłoby też prowadzić dywagacje na temat tego, co by było, gdyby np. Prezydent po wyborach nie desygnował nowego premiera, albo nie zaprzysiągł członków rządu, pomimo że ten dostał od Sejmu votum zaufania, czy też nie podpisałby papieru odwołującego ministra, wobec którego Sejm wyraził votum nieufności, albo odmówił zmiany ministra na wniosek premiera (albo, o czym była tu już mowa, nie skrócił kadencji Sejmu w przypadku, jeśli przewidziane w art. 154 i 155 Konstytucji trzy możliwe kroki mające prowadzić do powołania rządu zakończyły się niepowodzeniem). Myślę jednak, że nie ma co tu szczegółowo rozważać tych scenariuszy.

[Strona główna](#)